Nr. 6 (1516) Warszawa, 5 lutego 1910 r. **Rok XXX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Pierwszy krok.

Na kongresie z udziałem pedagogów z całej Polski, który obradował w pierwszych dniach listopada we Lwowie, podniesiono, między innymi, myśl powołania do życia instytucji, która, obejmując działalnością swą wszystkie dzielnice kraju, regulowałaby zasady polskiego wychowania narodowego.

Rozwija się ono w każdej dzielnicy według innego, a obcego wzoru, a więc w Galicji—austryjackiego, w Poznańskim — pruskiego, a w Królestwie — rosyjskiego, nie uwzględniając zupełnie ani odrębności dziecka polskiego, ani dążności czy ideałów narodowych. Szkoła polska własnymi siłami zwalczyć tego stanu nie może, gdyż kierunek wychowawczy nadają jej władze centralne w Berlinie, Wiedniu i Petersburgu.

Naturalnym następstwem tego jest wytworzenie się trzech różnych typów umysłowych w jednym narodzie. I nie to tylko. Na posiedzeniu Komisji Polskiego Muzeum szkolnego d. 4 listopada 1909 r., któremu kongres lwowski przekazał do załatwienia projekt instytucji, o której mówiliśmy powyżej, słusznie mówiła p. Helena Orsza, że w tym braku wszelkiej łączności pracy pedagogicznej trzech dzielnic widnieje „rozrzutność wkładanego trudu", która domaga się jakiejś racjonalnej organizacji.

Aby więc skoordynować usiłowania pedagogiki polskiej i korzystać wzajemnie z nabytego doświadczenia, p. Orsza proponuje utworzenie „Towarzystwa popierania pedagogiki polskiej", które skupiałoby dorobek pedagogiczny całej Polski, a mogło też dawać płodną inicjatywę. Redakcja *Muzeum* ogłoszoną w nim mowę p. Orszy, wydaną później w osobnej odbitce, poleca do dyskusji publicznej.

Zupełnie godząc się z inicjatywą kongresu lwowskiego i formą, którą p. Orsza chce jej nadać, i ufni, że nie pozostanie ona w sferze projektów, chcielibyśmy w niej widzieć jednak pierwszy krok na drodze do szerszej akcji, którąby nietylko pedagogikę obejmowała.

Rozbieżność życia trzech dzielnic Polski, nietylko w dziedzinie pedagogiki, ale w wielu innych, od dawna już zwraca uwagę, jako źródło powstawania trzech typów narodowych i jako objaw marnotrawstwa dorobku narodowego.

Kultura Polska w artykule wstępnym (Nr. 6 z 1909 r.) pisze między innymi:

„Było to następstwem zupełnie naturalnym i nieuniknionym, że trzy gałęzie Polski, wszczepione w trzy różne pnie państwowe, rozwinęły się odmiennie i w odmiennych kierunkach... nieuniknione przeciwieństwa już wytworzyły szereg położeń bardzo dziwnych i trudnych, który będzie miał ciąg dalszy". W polityce „trzy odłamy Polski idą ciągle przeciwko sobie i zwalczają się wzajemnie. To rozszczepienie się dążeń narodu w sferze politycznej oddziaływa na jego duchowość wogóle... Faktem jest, że stanowimy dziś trzy społeczeństwa, odmienne w swej istocie i w swym ruchu, których organy wspólne zredukowały się do mowy i sztuki. Poza tymi dziedzinami występują głębokie różnice i rozbieżności".

Jak daleko one sięgają, świadczy odezwa *Przeglądu narodowego* do czytelników, zamieszczona w Nr. 1 z r. b.

„Za jeden z najważniejszych niedoborów swego pisma, przyznaje się *Przegląd*, uważamy nader nierównomierne traktowanie spraw różnych dzielnic Polski, z odrębnymi warunkami ich życia politycznego i kulturalnego. Pismo nasze, siłą rzeczy, dzięki kołu

współpracowników, którzy stanęli na jego wezwanie, odbija przeważnie prądy myśli Królestwa i — poza tematami ogólnymi jego głównie sprawy omawia"...

Toż samo może o sobie powiedzieć każda redakcja, a w tym oświadczeniu tkwi prawdziwa tragiedja narodowa.

Jeśli wszakże płynie ona w znacznej mierze z przemożnych warunków, wielka nasza wina tkwi w tym, że się im biernie poddajemy, nawet tam, gdzie wyłącznie od nas zależy przeciwdziałanie.

Mamy np. w Galicji dwa jedyne uniwersytety polskie, jedyne ogniska nauki, a nazwiska profesorów Wszechnic lwowskiej i krakowskiej, a tymbardziej ich dzieła są w Królestwie prawie nieznane. A nam tutaj tak brak uczonych.

Nauki prawa u nas niema wcale. Stoczyliśmy się pod tym względem tak nizko, że, powiedzieć można, jesteśmy zupełnie w dziedzinie prawa ciemni, a ani uczeni prawnicy galicyjscy nic dla nas nie robią, ani też my do nich po nic się nie zwracamy.

W dziedzinie handlu i przemysłu bliższa nam jest Rosja i Berlin, niż Kraków lub Poznań, nawet tam, gdzie stosunki nasze byłyby zupełnie możliwe.

Jeżeli wypadki dziejowe w różnych nas postawiły warunkach prawno-państwowych, a pomimo to możemy i powinniśmy nawet w polityce dążyć do większej wspólności celów i środków, to już bezwątpienia jest w naszej mocy stworzyć łączność kulturalną i duchową, wymieniać wzajemnie owoce naszej pracy i doświadczenia, bronić się przed rozbiciem narodu na trzy społeczeństwa, trzy typy duchowe, trzy kultury.

Inicjatywa kongresu pedagogicznego polskiego powinna być rozszerzona na wszystkie inne dziedziny życia.

Zapewne, że po stu prawie latach zaniedbania sprawy naszej łączności kulturalno-narodowej nie jest ona tak łatwa.

Potrzeba porozumienia się i rozważenia jej wszechstronnego, wyrównania różnic, przedstawienia i porównania dorobków; potrzeba omówienia zakresu i środków współdziałania, co uczynić mógłby tylko kongres kulturalno-narodowy, któryby sprawie przywrócenia jedności duchowej trzech społeczeństw naszych nadał kierunek.

Kongres taki powinien być pierwszym krokiem na drodze, wskazanej dla jednej dziedziny życia przez pedagogów lwowskich.

Mitologja polityczna.

Z okazji pierwszego nie dokonanego jeszcze — lecz zapowiedzianego wywłaszczenia w Poznańskim, wypowiedziano w prasie pewnego rodzaju kondolencję, zawierającą słowa otuchy dla uciśnionych rodaków. Oto jak ją formułuje jedno z pism codziennych: „Ludność polska, mimo ostateczności, do jakiej jest doprowadzona, da najniezawodniej wzór hartu, spokoju, równowagi ducha", ażeby nie dać pretekstu do „ściślejszego ściśnięcia za gardło". Wprawdzie i bez tego pretekstu ściśnięcie za gardło nastąpić może, jak słusznie bezpośrednio potym toż samo pismo przypomina—„Ale jest dziejowa Nemezys, która sprawia, że zbrodnia musi rodzić wciąż zbrodnie i wikła przestępcę praw moralnych ludzkości w rozsnutą przez siebie sieć zbrodniczą. W karzącą rękę tej Nemezys wierzy silnie naród polski".

Istotnie, naród polski wierzy w nią tak silnie, jak my w „spokój i równowagę" braci Poznańczyków i niewątpliwie też cała prasa polska w tej bolesnej chwili zwróci do niej oczy z tą różnicą, że np. pisma poznańskie: *Słowo*, *Sztandar*, *Czas* nazwą ją po prostu Opatrznością — podczas gdy postępowe wymienią bóstwo pogańskie lub też omówią rzecz w sposób bardziej nowoczesny. Powiedzą np. „sprawiedliwość dziejowa", „duch czasu", „nieuchronny rozwój historyczny" lub t. p. A jednak pogańska, chrześcijańska, metafizyczna czy przyrodniczo-naukowa będzie to zawsze ta sama naiwna mitologja przeniesiona na tło zagadnień politycznych, ta sama szkodliwa, utopijna wiara w potęgę czuwającą nad nami, osłaniającą naszą bezsilność i bezradność, mszczącą krzywdy, przed którymi nie możemy się bronić i za które nie mamy mocy karać.

Zdanie jest ładne i wypowiedziane w najlepszej intencji złagodzenia bólu. Jest to dobroczynna znieczulająca morfina, ale tak samo jak morfina udzielana

---

17)

Sibilla Aleramo.

KOBIETA

przełożyła z włoskiego

STANISŁAWA GALLONE.

(Ciąg dalszy).

XVI.

Nadeszło Boże Narodzenie, czerwieniąc jagody krzewów na Trinita dei Monti, przynosząc jasełka na Piazza Navona, — radość mego syna; nadszedł sezon teatrów, wykładów, potym luty z pierwszymi kwitnącymi gałęziami; przez ożywione ulicy przechodziły cudzoziemki wysokie, jasne, uśmiechnięte, z rękami przepełnionymi białą chmurką delikatnych kwiatów. Często i ja wraz z małym przynosiliśmy do domu cudne pęki pierwiosnków. Na ścianach fotografje, Sybille sykstyńskie, tragiczny i łagodny Guidarello z Ravenny na swym posłaniu z kamieni, rysunek śpiącej Erynji, dar pewnej artystki norweskiej, niektóre portrety: Leopardi, George Sand z puklami czarnych włosów, Emerson, Ibsen, postacie genjalne i symboliczne — wszystko zdawało się ożywiać, lekko zabarwiać w odblaskach kwiatów. Szła od nich jakby zachęta do wiary, do nadziei! Dziecko biegło bawić się na taras. Pracując w dalszym ciągu, czułam rodzące się w mej duszy ideje i obrazy, zebrane podczas przechadzki wśród łąk Willi Borghese, lub nad opustoszałymi brzegami Tybru.

Dysproporcja między myślami mymi a mą pracą mechaniczną była wielka. Teraz moje dawne ambitne pragnienia literackie były dalekie ode mnie, lecz nie cierpiałam nad tym; odczuwałam pewne piękno nawet w skromnym zadaniu wyszukiwania nowin i zbierania faktów dotyczących kwestji, najbardziej mnie zajmującej. I oburzałam się, widząc zasypujące redakcję bezwartościowe książki, pisane przez kobiety: parodje utworów mężczyzn, najbardziej chwilowo znanych, książki, dyktowane przez jeszcze większą próżność niż próżność tych lalek światowych, których

zbyt często i w zbyt dużych dozach prowadzi do przytępienia umysłu i potęguje niedołęztwo.

Aż nadto lubujemy się w takich narkotycznych środkach, stanowiących dla nieszczęśliwych najłatwiejszą do osiągnięcia ulgę. Czy nie lepiej byłoby jednak zdobyć się jeszcze na trochę więcej hartu i tę narkozę odrzucić?

Nie układajmy historji w poematy mitologiczne i nie zamieniajmy definicji naukowych w mityczne personifikacje. To co rzeczywiście odkryć można w biegu dziejów, co nazywamy nieuchronnym procesem rozwojowym i to co nazywamy duchem czasu, i to w czym możnaby sprawiedliwość historyczną upatrywać, co wolno również w przenośni poetyckiej Nemezys dziejową nazwać, nie leży poza światem ludzkim i jednostkami w skład jego wchodzącymi lecz w nich samych. W wywodach naukowych, streszczających i obejmujących jednym szeregiem rozumowań rozległe okresy czasu, są to niezbędne uogólnienia, abstrakcje nie posiadające więcej cech realnych niż takie fikcje naukowe, jak punkt matematyczny lub linja.

Tego co jest realne, konkretne: biegu i kolei rzeczywistych wypadków, nie wywołuje żadna inna potęga tylko konkretni ludzie. Czego oni nie zrobią, to się w historji wcale nie stanie, choćby to najlogiczniej z najgłębiej przemyślanej doktryny wynikać miało.

„Nemezys dziejowa" rozpatrywana zbliska przybiera zawsze oblicze człowieka, tłumu, miljonów ludzi, którzy straciwszy spokój i równowagę przestają czekać wymiaru sprawiedliwości od historji i wymierzają ją sobie sami; stracą wiarę, że *duch czasu* wyprostuje i wygładzi ich twarde i ciernistе ścieżki; zaprzęgną go do roboty, dyktują mu swą wolę. Gdzie spokój i równowaga są bezdenne i niewyczerpane, tam bogini sprawiedliwości jest nieuleczalnie ślepa i kamiennie głucha. Albo może wiara w nieuchronną sprawiedliwość dziejową na czym innym opiera się raczej? Może na przekonaniu, że wreszcie ktoś silniejszy, czy mniej cierpliwy od nas spełni tę rolę, której my nie mamy odwagi wziąć na własne barki, że fala zbrodni spiętrzy się do tego stopnia, iż nie poprzestając na zalewaniu naszych brzegów, uderzy w skałę, o którą się rozbije? Ot, poprostu zamiast potulnego i pobożnego Polaka z czasem trafi na krewkiego Francuza, nieugiętego Anglika, Chińczyka chytrego i zawziętego lub rozjątrzy do białej pasji zwarte szeregi niemieckich socjalistów. Nemezys poszuka sobie odpowiedniejszego dla siebie wcielenia, ale też mówić i karać będzie nie nasze krzywdy, nie nam da zadosyćuczynienie i restytucję przyzna. Co się zrobi nie przez nas i bez naszego współudziału,— to nie dokona się dla nas.

Być może, że człowiekowi, który pada z ręki nożowca, osładza jego ostatnie tchnienie myśl: „A ty jednak kiedyś będziesz wisiał" lub: „I ciebie kiedyś zakłóje inny bandyta" — ale wizja takiej pośmiertnej satysfakcji wielce słabą jest pociechą dla narodu, który żyć chce, który ma prawo i siłę do życia.

Czy jesteśmy narodem do życia zdolnym i uprawnionym? Pytanie bluźniercze dla tych, którzy bezwzględnie wierzą w nieśmiertelność narodów jako w prawo moralne, lub przyrodzone. Prawa takiego wcale nie ma; to także tylko mitologja historyczna. I narody umierają, choć istnienie swoje liczą nie na lata lecz na wieki i tysiąclecia. Umarł Rzym, umarł Egipt, umarło Bizancjum. Uczeni rozkopują stare cmentarzyska pogrzebanych i zapomnianych narodów, a może pod nimi znajdują się jeszcze starsze warstwy historyczne, do których nie wydrążono do tej pory dość głębokich szybów.

Dlaczegoż mamy wierzyć, że nam zagwarantowano niezależną od naszych sił i żywotności nieśmiertelność?

Niegdyś wyszło w świat młode, tęgiego ducha i wielkiego hartu pokolenie Polaków i wydało hasło: „Nie zginęła — póki my żyjemy". Ono we własnej woli szukało gwarancji tej nieśmiertelności. A po kilku dziesiątkach lat ze zbolałej i rozmodlonej duszy wyszedł okrzyk inny: „Po Chrystusie żaden naród, który się urodził, nie zginie". Ach! już tylko dlatego?! Nie prawo naszej nieugiętej woli, lecz tajemniczy wyrok gdzieś w niebiosach nakreślony; metafizycznie wywnioskowana lecz faktami nie udowodniona hypoteza nieśmiertelności chrześcijańskich narodów — i ta ma być fundamentem naszej wiary, gwiazdą naszej nadziei?! Dziś i ta piosnka przebrzmiała.

Dziś spokój, równowaga, bierne oczekiwanie aż ktoś, coś, jakaś abstrakcja naukowa, jakaś personifikacja oderwanego pojęcia uczyni to, co powinno być zrobione dla nas — przez nas.

Zdrowa i budująca nauka cierpliwego oczekiwania ogromnie przypomina praktyczne rady, przez rozważną prasę udzielane nerwowej publiczności, która w razie pożarów teatrów przez popłoch zwiększała grozę katastrofy: siedzieć, nie ruszać się z miejsc i uspokajać drugich. Wreszcie ktoś nie bez racji

---

apartamenty *modern style* wydawca reprodukował w przeglądzie.

Jak mogły te *inteligientki* nie pojmować, że jedynie dzieło, noszące wybitne znamiona indywidualności mogło usprawiedliwić pojawienie się jego na polu literatury i sztuki, tak zatłoczonym miernotą.

Nieśmiała, przyzwyczajona do milczenia, ze drżeniem zwierzałam się ze swych zapatrywań redaktorce. Przyglądała mi się, uśmiechając się swymi oczyma krótkowidzącej i coś jakby chmura przesłoniła je. Żałowałam prawie słów swych: myślałam może, że ja, nieznana prawie, jej „Perugin", jak nazywała mnie, ośmielałam się sądzić jej dzieło?

Wiedziałam, że sama ani z tego dzieła, ani z siebie, ani ze swego życia prywatnego nie była zadowoloną.

Mąż jej, znany prawnik, nie był towarzyszem dla niej, mimo że posiadał inteligiencję, kulturę, subtelny smak i wydawał się wszystkim mężem i ojcem idealnym.

Nie stawał nigdy na przeszkodzie aspiracjom żony. Szanowali się wzajemnie; dla dwuch córek pozostawali z sobą i pragnęli wydawać się szczęśliwymi. Lecz starsza córka, być może, zaczynała przeczuwać coś; jej ośmnaście lat ukazywały już indywidualność wybitną i pod prześlicznym czołem musiało dojrzewać dumne postanowienie połączenia życia z ideałem. Ona była przyszłością. Wobec niej po raz pierwszy odczułam, że są ode mnie młodsi, którzy mogliby po mnie odziedziczyć jakąś iskrę i przekazać ją dalej.

Lecz czyż wydobędzie się kiedy ze mnie ogień, płonący w głębi mej duszy?

To samo pytanie czułam w oczach dobrej, starej matki nieszczęśliwych, gdy w schronisku, siedząc na stołeczku u jej nóg, słuchałam opowiadania o jej życiu nadzwyczajnym. Córka redaktorki była dla mnie symbolem nadziei jutra, kształtowania się całej ludzkości kobiecej, bardziej świadomej i szlachetnej. Ta kobieta, której czoło jaśniało pod falą srebrnych włosów, była wyobrażeniem gienjusza kobiecego, przejawiającego się w ciągu wieków w kilku rzadkich indywidualnościach, silniejszych, niż wszelkie więzy prawa lub zwyczajów. W młodości zapalona zwolenniczka Mazzini'ego, przerzuciła szybko swój zapał rewolucyjny na pole społeczne.

Temperament pchał ją nie ku propagandzie, lecz ku akcji bezpośredniej. Od lat trzydziestu, to jest odkąd przyjechała z Lombardji do stolicy i połączyła się

zauważył, że gdyby wszyscy dosłownie to żądanie spełnili — to wszyscy spaliliby się do szczętu.

Czy nie lepiej raczej szukać drogi wyjścia?

Nikt przecież o nasze życie nie troszczy się więcej niż my sami.

Nikt nie skoczy w płomienie, by nas ratować.

Opinja europejska, sumienie ludów — wypowiedziało się na szpaltach prasy w ankiecie Sienkiewiczowskiej i ta papierowa krucjata wyczerpała ogień jego świętego oburzenia.

Budowa kilku niemieckich dreadnoughtów, lub jakiejś niemieckiej linji kolejowej w kierunku perskiej zatoki prędzej przepełni miarę pobłażliwości historycznej Nemezys, niż najpotworniejsze barbarzyństwa spełniane na bezbronnych Polakach lub mniej trochę bezbronnych murzynach.

Spokój i równowagę można nazwać hartem — jeśli jest zarazem skupieniem sił i przygotowaniem do czynu; gdy zaś jest tylko oczekiwaniem cudu, zasługuje na nazwę niedołężnego marzycielstwa. Wmawiać w naród, że takie oczekiwanie już jest czynem, że jego losy rozstrzygają się najpomyślniej, gdy rozstrzygają się bez jego udziału — jest to pobożnie dysponować go na śmierć, budząc wiarę w lepszy, piękniejszy „żywot ducha na księżycu". Co innego żyć— a co innego trwać. O niejednym mówią, że żyje, dlatego tylko, że jeszcze nie umarł; właściwie jednak zaczął umierać już wtedy, gdy przestał wytwarzać świeże tkanki, świeże siły, nowe myśli, nowe czyny.

Czy jesteśmy narodem żywym, czy tylko narodem jeszcze nie umarłym? To pytanie my sami, wszyscy razem i każdy sam za siebie musi rozstrzygnąć.

Boć znowu nie jakaś mitologiczna personifikacja *społeczeństwa*, któremu każdy ze swej strony niby wierzyciel wystawia rachunki i domaga się pokrycia swych krzywd, strat i niedoborów, stawiając się poza nim, jak gdyby nie był z nim raczej współwinnym, współoskarżonym i współodpowiedzialnym.

Jeżeli jest źle, co uczyniłeś ze swej strony, aby było dobrze?

Jeżeli wkoło ciebie apatja, bierność, martwota — powiedz, ile życia jest w tobie? Czym są twoje dążenia? Luźnym chceniem, czy wytrwałym wysiłkiem? Co jesteś gotów uczynić i co poświęcić dla osiągnięcia swego celu?

A te same pytania stawić należy każdej zbiorowości, np. społeczeństwu polskiemu w Poznańskiem.

Czy się broni i jak się broni? Czy walczy i jak walczy?

Czy jego odporność nie jest tylko odpornością biernej, bezwładnej masy skalnej, którą przecież i woda drąży i powietrze rozkłada?

Miejmy nadzieję, że tak nie jest. Dużo się mówiło w ostatnich czasach o zasługach Poznańczyków, którzy mimo ucisku dorabiają się coraz wyższego poziomu dobrobytu. Dobrze robią: pieniądz jest dziś potęgą, która może oddać usługi i najwznioślejszej sprawie. Chodzi tylko o to, kto jest tym zasobnym właścicielem: jednostki czy naród? Czy zbogaciły się instytucje społeczne? Czy zgromadzone krocie obracane są na walkę z uciskiem, na obronę przed krzywdą?

A oto mały szczegół: Do niedawna na posłów do parlamentu wybierano tylko albo ludzi zamożnych, którzy z własnych funduszów utrzymywali się w Berlinie, albo tych, co jako posłowie sejmowi pobierali djety i musieli dzielić swój czas między dwie izby, jeśli wogóle nie woleli przebywać we własnych biurach lub kancelarjach. Okazywało się więc, że naród biedny był na łasce swych zamożnych synów, nie zaś oni na służbie bogatego narodu.

To nam tłumaczy niejedną tajemnicę, niejedną piętę achilesową polskiej polityki w pruskim zaborze.

Teraz zapewne jest — albo będzie inaczej. Musi być inaczej, jeżeli mamy w krzepiących słowach otuchy widzieć coś więcej niż zdawkowy frazes.

Nie dosyć jest mieć wiarę, trzeba mieć wolę.

Nie dosyć mówić „nie zginęliśmy!"—trzeba wiedzieć, co zrobimy, ażeby nie zginąć.

Trzeba „zrobić coś takiego, coby od nas zależało" i wiedzieć „że jeśli są rzeczy, które odemnie zależyć powinny, to grzechem jest pytać się o nie innych i żądać ich od innych".

I. Moszczeńska.

NA DOBIE.

Teatr włościański w Warszawie.

W Galicji ruch na polu stworzenia odrębnego teatru włościańskiego datuje się już od dość dawna, a rozwinął się szczególnie z chwilą założenia, w r. 1907 „Związku teatrów i chórów włościańskich we Lwowie", którego działalność, jak widzimy z ogłoszonego sprawozdania, przedstawia się nader pomyślnie i świetne rokuje na przyszłość nadzieje.

wolnym związkiem z pewnym znakomitym rzeźbiarzem, praca dla wydziedziczonych i pocieszanie nieszczęśliwych były jej troską nieustanną.

Cierpliwość w walczeniu o ulepszenia częściowe bodaj, o reformy instytucji dobroczynnych, o pomoc publiczną, jej zawziętość w pukaniu do drzwi możnych, by otrzymać najdrobniejszą choćby ofiarę, kontrastowały dziwnie z jej przekonaniem, że trzeba ogniem i żelazem zburzyć moc gnębiących instytucji, założonych przez klasę możnych.

Czy przelała myśl tę jakiemu młodemu robotnikowi, słuchającemu jej wykładów w Szkole Ludowej, którą założyła?... Jej bogata natura łączyła miłość praktyczną dla życia ludzkiego z teoretycznym buntem przeciw spróchniałym organizacjom społecznym, i nikt tak silnie jak ona nie odczuwał tragicznej piękności naszej epoki z jej rozproszonymi usiłowaniami społecznymi, z jej przebłyskami nowych objawień naukowych, z jej poszukiwaniem nowych ideałów nadludzkich. W ciągu tylu lat w środowisku artystycznym i kosmopolitycznym jej towarzysza i w ludowym, które badała, poznała wielkich poetów i byłych katorżników, kobiety nieszczęśliwe i kobiety upadłe, wysokich urzędników państwowych i dzieci włóczęgi. Jeszcze teraz, gdy w jej gabinecie zjawiali się mężczyźni i kobiety różnej narodowości, zdawało się, jakby przesuwała się przed nią ludzkość cała. Nieraz słyszałam ich, mówiących o innych jeszcze ludziach, o tłumach dalekich, które o życiu i wszechświecie tworzą sobie pojęcia dla nas niezrozumiałe. Myśl o cywilizacji naszej, obiegającej taki drobny punkt planety, przerażała mnie. Tak, Rzym był idealnym centrem dla uprzywilejowanych!

Odjeżdżali ci pielgrzymi, którzy mieli tyle, tyle wspólnych dążeń, i którzy nie mogli wpatrywać się we wspólne dzieło, promieniejące z tego serca świata, z Rzymu!

Kolejność wzniesień i zniechęceń! Gdy po raz pierwszy dostałam się z mą starą przyjaciółką do niektórych domów dzielnicy San Lorenzo, poczułam nagle budzący się w mej duszy instynkt zniszczenia. Na ulicy słońce świeciło silnie, w głębi ukazywały się wzgórza Tivoli, jak kraj spokoju. I już za progiem bram zapominało się o słońcu, wspinając się na schody ciemne, cuchnące wilgocią, gdzie z kątów sieni, z mrocznych korytarzów wysuwały się kobiety o potarganych włosach, piersiach źle zasłoniętych brudnymi koszula-

Dość powiedzieć, że ruch teatralny w tym kierunku objął już 461 miejscowości w 71 powiatach autonomicznych, zdobywając sobie powszechną sympatję i poparcie śród warstw, dbałych o kulturę ludu. Świeżo Sejm podwyższył Związkowi subsydjum z 2 na 3 tys. koron. To wszystko za kordonem.

U nas usiłowania w kierunku stworzenia sceny ludowej sporadyczny jeno mają charakter i zmuszone walczyć na każdym kroku z trudnościami stokroć większymi niż w Galicji, żywotności ujawnić nie zdołały. Tym większe więc uznanie i podzięka należy się energicznym inicjatorom przedstawienia trupy chłopskiej, jakie odbyło się w dn. 2 b. m. w Teatrze Letnim. Chłopi — amatorzy ze wsi Zawady w gub. Siedleckiej odegrali sztukę ludową Fr. Domnika p. t. „Ojcowizna". Siermiężni aktorzy wykazali takie zrozumienie intencji autora, grali z taką swobodą i temperamentem scenicznym, że najoporniejszych nawet przekonał debiut wczorajszy, jaki wyborny materjał posiadamy do stworzenia teatru włościańskiego w Królestwie. Usiłowaniom i trudom p. Malinowskiej, głównej inicjatorki i kierowniczki trupy, należy się najgłębsze uznanie i wdzięczność. Cel finansowy widowiska stał na poziomie dojrzałości kulturalnej aktorów — chłopów: przeznaczono dochód na rzecz włościan, wstępujących do szkół rolniczych.

Estetyka Warszawy

Warszawa należy do najbardziej upośledzonych miast w Europie pod względem architektonicznym.

Od lat wielu rozszerza się i zabudowywuje bez żadnego określonego planu, gdyż plan dorywczo opracowany przez magistrat, jak to wykazali na ostatnim posiedzeniu pp. Skórewicz i I. Witkiewicz — jest raczej zagwożdżeniem prawidłowego rozwoju miasta.

Zatwierdzenie planów, urągających najniewybredniejszemu smakowi nie znajduje żadnych przeszkód.

Zapewne wiele się na to złożyło przyczyn, niezależnych od naszej woli.

Od lat wielu Warszawa nie jest panią domu u siebie. Wszystkie gmachy publiczne, mające jakąś wartość architektoniczną, powstały przed rokiem 1830...

Ale nawet i w dzisiejszych warunkach dałoby się uczynić wiele, gdyby rozwinęły się u nas stowarzyszenia prywatne, mające estetytykę Warszawy na celu, gdyby obudził się w obywatelach pewien pietyzm względem miasta, poczucie odpowiedzialności za przyszły wygląd kraju:

Niestety, ogół obywateli — trzeba przyznać, bez różnicy wyznania i pochodzenia — niejako postawił sobie za punkt honoru unikanie wszystkiego, co z pięknem w budownictwie ma coś wspólnego.

Trudno się zresztą dziwić przeciętnym kamienicznikom-dorobkiewiczom, nie mających pojęcia o kulturze artystycznej, skoro nawet najpoważniejsza instytucja w Warszawie, *crême de crême* właścicieli kamienic, stanęła pod tym względem na poziomie łyków pacanowskich.

Jeżeli niegdyś w warunkach znacznie cięższych, Tow. Kr. Ziemskie postawiło gmach, będący ozdobą miasta, jeżeli założyciele Tow. Kr. Miejskiego zaraz w początkach istnienia instytucji nie wahali się zbudować własnego gmachu, jak na owe czasy i ówczesne środki Towarzystwa — okazałego, to po czterdziestu latach świetnego rozwoju instytucji obawa przed wydatkiem na gmach, któryby odpowiadał potrzebom przyszłego rozwoju Towarzystwa i równocześnie przyczynił się do upiększenia stolicy kraju, a wyrzucanie przeszło 700,000 rubli na nieestetyczne i niepraktyczne przebudowywanie jest co najmniej małoduszne.

Wobec tego, że nawet ogólne poprzednie zebrania pełnomocników oświadczały się za wybudowaniem nowego okazałego gmachu, i ostatnie zebranie pełnomocników jedynie pod naciskiem władz Towarzystwa nieznaczną większością odrzuciło projekt budowy nowej siedziby, całkowitą odpowiedzialność za pominięcie sposobności upiększenia Warszawy ponoszą obecne władze Towarzystwa. To też po przebudowie obecnego gmachu Tow. Kr. Miejskiego pełnomocnicy powinni uchwalić wmurowanie tablicy pomiątkowej tej treści:

„Z inicjatywy dyrektorów: A. Czajewicza, A. Bardzkiego, St. Libickiego, etc. etc. przy udziale członków Komitetu Nadzorczego: br. Kronenberga, hr. Z. Lubomirskiego, etc. etc. gmachem tym została oszpecona Warszawa R. P. 1910, lub też wyrycie na frontonie, wzorem jednego ze spekulantów warszawskich napisu: „Suis et sibi — na pośmiewisko".

Tow. Kultury Polskiej.

D. 30 stycznia r. b. odbyło się zebranie w lokalu T. K. P. pod przewodnictwem p. Łypacewicza, — na którym p. Dobrska odczytała sprawozdanie z działalności Towarzystwa.

---

mi, spojrzeniu nieprzyjaznym... Z jakiej głębi ohydy wysuwały się te wstrząsające widziadła?

Ochrypłe głosy nie błagały nawet o pomoc; z obojętnością dawały wiadomości o chorobach, urodzeniach, bezrobociach przymusowych, o bójkach... Z wyższego piętra schodziła jakaś dziewczynka, jasna, różowa jeszcze, jeszcze z ustami zdolnymi do uśmiechu. Znikała. Z otwartych izb wydobywał się zaduch nie do zniesienia i z całego domu, od góry do dołu, wybiegały krzyki, skargi, przekleństwa...

Och, ten kraj spokoju, rysujący się jeszcze w dali, na horyzoncie, gdy wracałam do domu! Schronić się tam! Wśród zieleni i wód zapomnieć o istotach, podobnych do mnie, do mego syna, do tej świętej istoty, wiodącej mnie, żyjących w łachmanach, bez powietrza, nie zdających sobie nawet sprawy z tego, co trzyma je żelazną dłonią przy życiu!

Obowiązek bytu nakazywał iść tam w ten wir na spotkanie przerażającej rzeczywistości. I trzeba było poprowadzić tam wszystkich roskoszujących się światłem, powietrzem czystym, wszystkim, co piękne, proste lub wyrafinowane, konieczne, lub zbyteczne; trzeba było poprowadzić wszystkich przechadzających się między pałacami i fontannami, wszystkich, chmarą biegnących do teatrów, spieszących zobaczyć przejazd jakiegoś księcia, lub inaugurację wspaniałego pomnika.

Zaprowadzić ich siłą!

A gdyby i potym jeszcze umieli zapomnieć — niechaj wybije godzina katastrofy!

Jedyna istota zdawała mi się wolną od tego obowiązku, istota trzymająca mą duszę zawieszoną ponad pojęciem zła lub dobra. Był nią zagadkowy człowiek, który zdawał się posiadać jakąś wielką tajemnicę życia, „prorok", jak go żartobliwie nazywała redaktorka *Mulier'a*.

Mąż mój czynił wyjątek, pozwalając mi przyjmować tego człowieka; opinja ascety, jaką miał, uspakajała go. Lecz odwiedziny jego bywały rzadkie i krótkie. Nieraz gdy spotykaliśmy się na ulicy, towarzyszył mi przez chwilę; mieszkał w tej samej dzielnicy co i my: na Via Flaminia. Dziecko natychmiast podawało mu rączkę. Co wiązało mnie i mego syna z tym człowiekiem samotnym, zagadkowym, może chorym? On czuł nieraz nieświadomą potrzebę mówienia, ukazania kilku błysków tego świata, w którym żył sam jeden tylko... Odczuwał mą gotowość słucha-

Ogół członków wynosi około 5,000, z czego w Warszawie 1,413 czynnych, 51 popierających, mężczyzn 896, kobiet 568, chrześćjan 84,6 proc., żydów 15,4 proc., fabrykantów, przemysłowców, kupców, właścicieli ziemskich 4 proc.

Artystów, literatów, publicystów, adwokatów, lekarzy, nauczycieli, urzędników 61 proc. Oddanych zajęciom domowym (kobiet) 18 proc. Robotników, rzemieślników 17 proc.

Oddziałów w Warszawie 6, na prowincji 31.

Sekcja społ.-ekonomiczna pracuje dla przyszłej instytucji domu ludowego T. K. P. i prowadzi starania o zatwierdzenie. Sekcja etyczna prowadzi propagandę na rzecz kultury moralnej, organizując dyskusje i odczyty w Warszawie i na prowincji, zbierając dane statystyczne i wydając przekłady dzieł odnośnych.

Komisja arbitrów, czynna przy zarządzie T. K. P., wydała opinję w czterech sprawach.

Sekcja oświatowa zakłada szkołę początkową czteroklasową na Nowym Brudnie, pod którą kupiono już plac — opracowano projekt budowy i plan nauk, gromadzi się też fundusze.

Zorganizowano jej staraniem czytanie dzieł klasycznych — oraz urządzono wypożyczalnię książek za minimalną opłatą. Ma ona w obrocie 2,508 dzieł naukowych i 686 beletrystycznych. Odczytów popularno-naukowych odbyło się 59, za opłatą 5 — 10 kop., wieczorów dyskusyjnych 29.

Opracowano na wystawę częstochowską 22 tablice statystyczno - porównawcze stosunków życia i pracy kulturalnej u narodów europejskich oraz wykazano nasz w nich udział.

Bibljoteka T. K. P., obejmuje 1,200 dzieł, odnoszących się do Kultury Polskiej i 85 czasopism.

Wydawnictwo miesięcznika *Kultura Polska*, obejmujące treścią wszelkie sprawy życia kulturalnego, dotąd, niestety, przynosi jeszcze mały deficyt i powinno być gorliwiej popierane przez członków.

Ta ogólna potrzeba poparcia finansowego T. K.P. uwydatniła się po odczytaniu sprawozdania. Wyrażono życzenie, aby członkowie wedle możności wnosili dodatkowe opłaty.

W końcu dopełniono wyborów 70 delegatów na zjazd T. K. P. w Warszawie w dniu 2 lutego.

Tę suchą notatkę uzupełnimy w przyszłym numerze oświetleniem całej działalności, Towarzystwa, zobrazowanej w sprawozdaniach na ogólnym zebraniu jego delegatów w d. 2 lutego.

Ag.

Towarzystwo Biblioteki Publicznej w Warsz.

„Przegląd Biblioteczny" w zeszycie 1—2-im, Tomu II, rozesłanym obecnie, przytacza między innymi Sprawozdanie Komitetu Towarzystwa Biblioteki Publicznej w Warszawie za 1908 r., znane zresztą już z ogólnego zebranie w d. 4 kwietnia 1909 r., na którym je odczytano. Chociaż więc nie jest ono nowym, i wkrótce komitet zapozna ogół ze sprawozdaniem za 1909 r., wracamy do zeszłorocznego, korzystając z przypomnienia go przez „Przegląd Biblioteczny", a to w celu podania pewnego projektu, który może zwróci uwagę przyszłego ogólnego zebrania i znajdzie urzeczywistnienie. Rzucając myśl swoją, doceniamy należycie usiłowania tych, którzy około dźwignięcia Biblioteki pracują, i jesteśmy pełni uznania dla ich ofiarnej pracy. Te względy właśnie, oraz poczucie wielkiej potrzeby, jakiej Biblioteka czynić ma zadość, zniewala nas do zaproponowania jej kierunku, w którym rzeczywiście korzyści nauce oddaćby mogła.

Biblioteka złożona z dzieł przypadkowych, w której tę lub ową książkę można znaleźć lub nie znaleźć, w której systematycznej pracy nad żadnym przedmiotem prowadzić nie można, żadnemu celowi nie odpowiada. Ażeby była ona rzeczywiście Biblioteką w całym znaczeniu tego słowa, na to potrzebaby miljonów. Tych brak, a że nie mamy Carnegie'ów, więc chyba się nie znajdą. Tą drogą zaś, którą Biblioteka się rozwija, za lat dziesięć, i za lat dwadzieścia zapewne, będzie ona zawsze tym zbiorem niekompletnym, którym jest i dzisiaj. Cóż więc zrobić wobec tego? Kiedy nie można stworzyć wielkiego dobrego dzieła, trzeba tworzyć dobre małe dzieło. *In der Beschränkung zeigt sich der Meister*, jak powiedział Goethe. Biblioteka, według nas, powinna się ograniczyć do nowych dzieł naukowych w pięciu językach (polskim, rosyjskim, niemieckim, francuskim i angielskim), ale za to nabywać je wszystkie, oraz do pism w tychże językach. Zapewne, że Biblioteka i na to może nie mieć dostatecznych środków. Możnaby było w takim razie zrobić jeszcze ograniczenia co do

---

nia go. Lecz ja nawet jednego błysku nie spostrzegałam, wiedziałam tylko, że w pracy, którą tworzył, zamknąć się miało słowo najwyższego dobrodziejstwa dla ludzkości...

Mówiąc z nim pierwszy raz, zapytałam siebie, czy był mistykiem, czy szaleńcem. Ja, która nigdy nie śmiałam zatopić się w studjach psychicznych, choć wiedziałam, że było to skutkiem nieśmiałości umysłowej, zdumiewałam się teraz, spostrzegając swą gotowość wierzenia, że ten człowiek zdoła mi objawić coś, w co wierzyłam przez moc tajemniczą.

Mówił mi o wysiłkach ludzkości, by stwierdzić pochodzenie i przeznaczenie pozaziemskie. Ogarniał mnie dziwny urok; rumieniłam się prawie, przypominając sobie, z jaką łatwością rozwikłałam rzekomo zagadnienie religijne w najpoważniejszej godzinie mego życia. Ten człowiek był dla mnie symbolem siły cierpienia duchowego, siły, której — przyznać musiałam — brakowało mi. Bezpłodne cierpienie, być może. Lecz czyż nie była w tym bólu najwyższa szlachetność istoty, dążącej do prześcignięcia samej siebie? I rozkwitało w mej duszy pokorne uczucie dla tego człowieka: macierzyńskie i siostrzane zarazem, uczucie nigdy przedtym nie doświadczane. Surowość jego życia i zadziwiająca siła charakteru, nie pozwalająca mu na żadne wywnętrzania się,jego wygląd wątły i dumny jednocześnie pociągały mnie. Czy spostrzegał to? Nie zastanawiałam się nad tym.

W każdym razie uczucia moje nie przejawiały się w niczym, i nawet mąż mój nie komentował naszego stosunku.

Mówił mało o sobie, jakby pragnął, by nikt nie znał jego życia pracowitego, jego stoickiego zrzeczenia się wszystkich roskoszy. Zdawało się, że wszystko to, co życie przynosiło mu jeszcze w dani: uśmiechy dzieci, przywiązanie kobiet, blask słońca przyjmował jakby przeznaczone dla jakiejś cząstki jego istoty nic nie znaczącej, zdolnej jeszcze do roskoszowania się, lecz pozbawionej wpływu na jego duszę i wolę. Musiał cierpieć strasznie w przeszłości. Może w analizie, w badaniu siebie znalazł ulgę; musiał przekonać się, że człowiek cierpi z powodu marnych rzeczy. Niedostatek materjalny i uczuciowy, brak chleba i wygód, opieki, miłości — wszystko to powoduje cierpienie. Lecz człowiek wielki jest ten, który przyzwyczaja się obchodzić bez tego wszystkiego, który umie żyć sam, karmić się samym sobą, odosobnić się od ludzkości i życia...

Czy i nas chciał do tego doprowadzić?

Nie było to nieprawdopodobnym. Co więc znaczyć miało tajemnicze zachęcanie mnie do oczekiwania słów jego, które od czasu do czasu ponawiał?

niektórych bardzo specjalnych zakresów wiedzy, lub co do języka angielskiego, najmniej u nas znanego. Ale nawet w tym zakresie, jako *Biblioteka dzieł nowych* przynosiłaby ona wielką korzyść, i znalazłaby zapewne znacznie większe poparcie ze strony tych, którzyby z niej, za opłatą korzystali; stanowiłaby ona doskonałe uzupełnienie biblioteki uniwersyteckiej, dość zasobnej, w której publiczność rzadko jednak korzystać może z dzieł nowych, dostępnych najczęściej dopiero po upływie lat kilku od daty ich wydania. Na drogę *nowości naukowych*, których brak przedewszystkim odczuwać się daje ludziom pracującym naukowo, wejść winna nasza Biblioteka i w tym kierunku zwrócić swoje usiłowania, aby zaspokoić rzeczywistą potrzebę. Naturalnie, że ten kierunek działalności Biblioteki nie wyłącza gromadzenia zbiorów dzieł dawnych, o ile Biblioteka je otrzymuje drogą darowizn lub zapisów, ale to jest pracą, z której może przyszłe pokolenia korzystać będą.

Dzisiejszemu pokoleniu, które ma dzieła dawne w bibliotece uniwersyteckiej, potrzebne są książki nowe, i to jest jedyne zadanie, które Biblioteka podjąć może w istniejących warunkach.

C. T.

Zlękliśmy się.

W zmiennym nastroju, wytwarzanym przez różnego rodzaju ploteczki, wieści i legiendy, z ust do ust krążące, mieliśmy chwilę zdumiewającego zwrotu naszych uczuć publicznych w stronę Niemiec. *Czas* krakowski wystąpił z ostrą naganą dla prasy warszawskiej, że nieżyczliwie mówi o Niemcach w Królestwie Polskim, dzienniki w Poznańskim zaczęty wznawiać miłość wiernopoddańczą Polaków do Prus, a jednocześnie bracia Leblond w *Revue des deux mondes* wyrazili przekonanie, że wierzą w możność przychylnego dla Polaków zwrotu w polityce Niemiec, że ten zwrot leży w interesie państwa i jest niedaleki, a jego rezultaty mogłyby się okazać fatalnymi dla Rosji. Jednocześnie *Now. Wr.* odkryło agitatorów pruskich, krążących po Królestwie i jednających serca polskie dla przyjaźni niemieckiej. W obliczu Grunwaldu, w przeddzień rocznicy pamiętnego dnia, wobec przygotowań czynionych na całym obszarze ziemi polskiej do wspaniałego jej obchodu — nie do wiary. A jednak musi w tym coś być. Bo oto tak rozbujawszy wachadło uczuć naszych do ostatnich granic fantazji, że nawet chcieliśmy ruszyć z grobu prochy Jagiełły, ażeby uczynić z nich najsilniejszy akord w chórze tryumfującego wspomnienia — naraz zaczynamy się cofać na całej linji. Lwów odstępuje od zamiaru urządzenia wystawy grunwaldzkiej, Rada miasta Krakowa zamyka Styce drzwi barbakanu i zaczyna się mysia robota: ciche, ledwo dostrzegalne, lecz uporczywe podgryzanie snutych zamierzeń, wytkniętych planów, niechybnych, zdawało się, wydarzeń. „Najpierwsi w kraju pierwsi przystępują do obrządu umywania rąk i to całkiem ostentacyjnie; za nimi niewątpliwie korowodem popłyną inni — ci mianowicie, którzy się boją; a u nas w Polsce, w każdym zaborze — boją się wszyscy. Jeden się boi za siebie, drugi za brata lub krewniaka, trzeci ot tak — z nałogu. Nie można drażnić wroga: jest mocny, brutalny i mściwy, a w dodatku nie boi się niczego i nikogo. Tu na ziemi ufa swej sile, a i tam w niebie, przekonany jest, że ona mu drzwi otworzy i zaszczytne przyjęcie zapewni. W ruch puszczono różne plotki i sensacyjne twierdzenia, jak to naprzykład, że cesarz Wilhelm miał powiedzieć, iż Polaków zniszczy doszczętnie, gdyby obchód grunwaldzki nie został zaniechany — aby tylko szyki połamać i rozpędowi narodowemu nogi podciąć. Epidemia strachu, rzecz dziwna, najmocniej wybuchnęła w Galicji, a podobno — zwłaszcza w Krakowie. Jeszcze przed pół wiekiem — mówi z tego powodu jedno pismo — Francuzi, Włosi, nawet Niemcy uznawali Polaków za naród rycerzy i bohaterów, dziś o Polakach z małymi wyjątkami milczą lub wyrażają się z lekceważeniem, dawniej a nawet nie tak dawno naród nasz wydawał ludzi, którzy Niemców w ich własnych stolicach uczyli bronić wolności, a dziś na naszym czele stoją zwykli tchórze"... Takim mocnym słowem przemawia oburzenie.

Innym uczuciem przemawia odezwa Sokołów galicyjskich. Nie czas na tryumfy! — woła — bo walka będzie cicha, ofiarna, męczeńska i nieskończenie długa. Naród królewskie insygnia i rycerskie zbroje przetopił na blask i siłę niezłomnego ducha... na moc niezachwianej wiary w zwycięstwo prawa i sprawiedliwości... i wyzwany, idzie nie na zemstę, lecz ku obronie. Idzie naród — czy jego widmo?

ps.

Mówiłam o nim z dobrą starą „mamą". Znała go od dość dawna i otaczała nadzwyczajną tkliwością. Czy ukazywała mu kiedy nędzę ohydną?

Tak, widział on i inne, daleko, w Londynie, w New-York'u.

„Widzisz dziecko, on mówi sobie, że wszystkie wysiłki zmiany społecznej są próżne bez pomocy nowej wiary, którą chce dać ludziom. On szuka absolutu, a nic nie jest bardziej niepotrzebnym, szkodliwym nawet, jak absolut, gdy ma się świadomość, że wszystko zmienia się, przemija, że człowiek umiera. On szuka prawdopodobnie nowego dowodu nieśmiertelności, albowiem stare już nie wystarczają. Lecz ludzie do dziś wierzyli w tę nieśmiertelność i nie stali się lepszymi".

Oczy jej przesłoniła mgła.

„Nikt bardziej odemnie nie pragnąłby pociechy odnalezienia po śmierci tych, których się kochało. Przez tyle lat wierzyłam, że przeznaczenie nie pozwoli mi przeżyć mego towarzysza. Stało się inaczej! Wspomnienie naszego związku jeszcze całą mnie napełnia słodyczą i pozwala ze spokojem tę ostatnią część drogi życiowej odbyć samotnie... Ja odebrałam swoją część dobra. Drogie dziecko, trzeba by człowiek kochał życie w tej mierze, w jakiej ono jest zdolne być pięknym *dla wszystkich*, macierzyńskim *dla wszystkich*. I nie wpatrywaniem się w poza życie osiągnąć można cel ten".

Myślałam o tych wszystkich chwilach, w których czułam tego człowieka *oderwanym*, dalekim od świata.

On nie miał nawet uczni: żaden z tylu młodych literatów, zapełniających redakcję, wzywających w swych wierszach „oczekiwanego", nie czuł potrzeby zbliżenia się do niego, poznania jego tajemnicy.

Moja stara przyjaciółka uspokoiła się:

„To rzeczywiście szczególny, *jedyny okaz*; cieszę się niezmiernie, że go poznałam. A ty mała, czy poddałaś się już jego urokowi? Kobiety są zawsze wrażliwe na przejawy mistyczne... Gdybym mogła wskazać ci siebie jako przykład, powiedziałabym ci, że i ja wierzę w tajemnicę, że i ja, jak się to mówi, mam okno otwarte na nią. Lecz nie mogę cały dzień stać przy nim: w domu tyle mnie czeka roboty!"

Uśmiechnęła się z ironją, która kryła bezmierną czułość. Jak lekko dotykała duszy! Czy potrafiłabym otworzyć przed nią całą moją duszę?

Zwolna, zwolna ogarniał mnie niepokój i zmęczenie.

Dla tej szlachetnej istoty życie było miłością; a jeśli miłość jest wszystkim w życiu, ja nie znałam go jeszcze.

(D. C. N.)

Warszawski Sąd Handlowy.

Prawdziwym Kopciuszkiem wśród instytucji sądowych warszawskich jest nasz Sąd Handlowy, obradujący przy ulicy Długiej Nr. 7. Sąd ten rozpatruje często bardzo skomplikowane kwestje handlowe i spory, gdzie idzie nierzadko o miljony, a więc znaczenie tego sądu dla naszego kupiectwa jest bardzo doniosłe. Tymczasem wydatek, jaki rząd ponosi na utrzymanie tego sądu, jest prawie kopiejkowy, ponieważ sędziowie kupcy, wybierani z pośród naszego kupiectwa pełnią swe obowiązki honorowo, a urzędujący tam 4 członkowie prawnicy czyli sędziowie koronni pobierają zaledwie po 1,500 rb. rocznie, zaś prezes otrzymuje 3,500 rb., a wice-prezes 2,700 rb. Takie skromne uposażenie sądowników handlowych powoduje, że młodzi najczęściej prawnicy, mianowani na urzędy sędziów koronnych w sądzie handlowym, uważają te posady jako etap przejściowy i zwykle po 2 lub 3 latach swojego urzędowania przechodzą na lepsze stanowiska, a na ich miejsce zjawiają się znowu młodzi i nieprzygotowani dostatecznie prawnicy — a przytym i nieobeznani z warunkami naszego kupiectwa, wobec czego wymiar sprawiedliwości nie może odbywać się normalnie.

Pisano w ostatnich czasach dużo o reformie sądów handlowych, a nawet o zupełnym ich skasowaniu, lecz z naszego punktu widzenia istnienie sądu handlowego w tak wielkim mieście jak Warszawa — jest niezbędne, a oczywiście pożądanym byłoby tylko jak najrychlejsze zreformowanie tego sądu, ażeby posiadał sędziów koronnych, wykształconych teoretycznie i dobrze rutynowanych, a wtedy łącznie z wybieralnymi sędziami-kupcami sądzenie spraw odbywać się będzie należycie. *A. J.*

BADANIA NAUKOWE.

Aleksander Świętochowski.

Utopizm socjalizmu naukowego.[1]

Menger właściwym ojcem socjalizmu naukowego mianuje Wiliama Thompsona; Proudhon sam przyznawał sobie ten tytuł; ostatecznie jednak upowszechniło się mniemanie, że słupem granicznym, oddzielającym socjalizm naukowy od utopijnego, był Marx. Istotnie jego sławne „materjalistyczne pojmowanie dziejów", albo raczej jego teorja rozwoju stosunków ekonomicznych, wyłączająca dowolne i nagłe przemiany ich postaci, sprzeciwia się zasadniczo utopizmowi. Główny ewangielista i duchowy namiestnik mistrza, F. Engels, wykazał to przeciwieństwo w osobnym traktacie. [2]) „Wspólną cechą trzech wielkich utopistów (Saint-Simona, Owena, Fouriera) — mówi on — było to, że oni nie występowali jako przedstawiciele interesów proletarjatu. Wzorem filozofów XVIII w. pragną wyzwolić odrazu całą ludzkość, a nie naprzód pewną określoną jej klasę i jak tamci chcą zaprowadzić królestwo rozumu i wiecznej sprawiedliwości... Ten rozum i ta sprawiedliwość nie panowały dotąd nad światem dlatego, że nie były należycie poznane, że brakło genialnego człowieka, który by je poznał... Zjawił się on dopiero teraz i odsłonił prawdę, co nie było zjawiskiem koniecznym, wynikającym nieodzownie z rozwoju historycznego, lecz prostym przypadkiem. Ten gienjalny mąż mógłby tak samo urodzić się 500 lat wcześniej i zaoszczędziłby ludzkości tyluż lat błędów, walk i cierpień". Marx, według Engelsa, dokonał dwu wiekopomnych odkryć: pierwszym z nich jest materjalistyczne pojmowanie dziejów, które uczy, że „ostatecznych przyczyn przekształceń społecznych i przewrotów politycznych szukać należy nie w głowach ludzi, nie w ich wzrastającym rozumieniu wiecznej prawdy i sprawiedliwości, lecz w zmianach sposobu produkcji i wymiany czyli — nie w filozofji, lecz w ekonomji danego okresu"; drugim zaś odkryciem jest teorja nadwartości, która wyjaśnia istotę produkcji kapitalistycznej, polegającej na tym, że przedsiębiorca płaci za pracę taniej, niż sprzedaje jej wytwór. Przy świetle dwu tych zasad zarysowała się wyraźnie różnica między dawnym socjalizmem utopijnym, który odkrywał sprawiedliwość wiekuistą i wierzył, że można siłą gienjalnego objawienia przekształcić zupełnie ustrój społeczny, a socjalizmem naukowym, który to przekształcenie uważał za konieczny wynik rozwoju ekonomicznego.

Te dwa dogmaty weszły do katechizmu prawowiernych marksistów. Jeden z ojców tego kościoła, K. Kautsky, chociaż przyznał największemu utopiście tytuł nowoczesnego socjalisty, zaznaczył punkty, których on nie mógł dostrzec nawet swym gienjalnym jasnowidzeniem z odległości trzystu kilkudziesięciu lat i które wykazują różnicę między marzycielstwem utopizmu a naukowością socjalizmu. Według niego idee są tylko „lokomotywami rozwoju społecznego", którym siłę ruchu dają stosunki materjalne. Toż samo powtarzają inni. „Budowa społeczeństwa w każdym czasie i miejscu — powiada M. Hillquit [3]) — nie jest rezultatem dowolnego postanowienia ludzi, lecz prawidłowym wynikiem określonego procesu dziejowego; najgłębszą podwaliną tej budowy jest każdorazowo podstawa ekonomiczna, na której zorganizowało się społeczeństwo. Jako logiczny zaś wniosek z tych przesłanek wypływa to, że ustrój społeczny nie może ulec zmianie, dopóki nie dojrzeje do niej dzięki rozwojowi ekonomicznemu, oraz że przyszłości społeczeństwa ludzkiego szukać należy nie w pomysłowych projektach i wynalazkach jakiegoś socjologa, lecz w kierunku rozwoju ekonomicznego. Tak więc socjalizm spółczesny różni się od dawnej utopijnej postaci tego ruchu we wszystkich punktach istotnych".

Wielkie złudzenie, które zresztą powoli zaczyna się już rozwiewać nawet przed bystrzejszym wzrokiem wyznawców. „Materjalistyczne pojmowanie dziejów", które dla historyków socjalistycznych [4]) stanowi ro-

---

[1]) Zamiast sprawozdania ze świeżo wydanej książki A. Świętochowskiego „Utopje w rozwoju historycznym", która stanowi treść dziesięciu odczytów, wygłoszonych pod tym tytułem w końcu ubiegłego roku i referowanych obszernie w *Prawdzie* (Nr. Nr 47, 48, 49, 50, 51 i 52 z r. z.) podajemy jeden z najwybitniejszych ustępów tej ostatniej pracy znakomitego autora. (*Przyp. Red.*).

[2]) *Die Entwickelung des Sozialismus von der Utopie zur Wissenschaft*, 1882, przekład polski 1905) a przedtym w dziele: *E. Dürings Umwälzung der Wissenschaft*, 1878.

[3]) *Hist. of Socialism in United States*, 1903, przedmowa.

[4]) Przy czytaniu ich prac ogarnia nas na przemiany żal lub śmiech wobec wysiłków wtłoczenia w ciasną foremkę objawów, które ją rozsadzają. Kautsky, dla którego „materjalistyczne pojmowanie dziejów" jest niejako formułą Laplace'a, mającą rozwiązywać wszystkie zagadki bytu, tłumaczy nią (w *Vorläuf. d. Soz.*) Odrodzenie, Reformację, nawet bezżeństwo księży. Nie dostrzega on, że ten klucz do wszystkich zamków łamie mu się ciągle. Tak np. nie mogąc dopasować *Utopji* Morusa do współczesnych ram ekonomicznych, powiada „Morus *antycypował* zasadę nowoczesnego socjalizmu, *zanim* istniały warunki, na których ona się opiera. Doszedł zaś do tego *logiczną pracą myśli*" (str. 291). A więc materjalistyczne pojmowanie dziejów było niepotrzebne?

dzaj okularów końskich, pozwalających im widzieć przedmioty tylko w jednym kierunku, nie było wcale obce dawnym utopistom. Przeciwnie, prawie wszyscy oni uznawali ścisłą zależność ideowej od materjalnej strony życia; prawie wszyscy dowodzili, że zmiana układu stosunków ekonomicznych przetworzy do gruntu myśli, uczucia i zasady społeczne; prawie wszyscy w tej zmianie umieszczali główną wagę swoich planów, a niektórzy z nich (jak np. Cabet) zamykali w niej cały widnokrąg przyszłości. Stwierdzić przytym trzeba, iż pierwotna bezwzględność „materjalistycznego pojmowania dziejów" uległa znacznemu ograniczeniu i to przez najpracowitszych wykładaczów marksizmu. Fr. Engels, zachowując dla czynników ekonomicznych wpływ najważniejszy, zalecił jednak „poprawioną formę" reguły, dopuszczającą do udziału w rozwoju społecznym obok sił i stosunków ekonomicznych „pojęcia prawno-moralne, tradycję historyczną i religijną każdej epoki, warunki gieograficzne i fizyczne, do których należy także natura człowieka i jego zdolności umysłowe". [5]) Jeszcze dalej poszli pisarze, nieskrępowani obowiązkiem wierności względem mistrza i partji. „Nic bardziej nie wypacza faktów — mówi A. Menger — niż sprowadzenie różnolitego życia wraz z jego przekształceniami do jakiejś jednej, wyłącznej przyczyny — np. do warunków ekonomicznych lub technicznych. Z równą słusznością możnaby objaśnić tą samą zasadą bieg dziejów ludzkich oraz zmiany gieologiczne i astronomiczne. Choroba wodza, który w dniu rozstrzygającej bitwy skutkiem niemocy nie wyda w odpowiedniej chwili koniecznych rozkazów, może sprowadzić upadek państwa i obalenie jego prawno-społecznego ustroju... Gdyby w fabrykach niemieckich pracowali murzyni albo chińczycy, to nawet przy istnieniu wszystkich warunków ekonomicznych nie powstałaby nigdy demokracja socjalna... Jeżeli Marx, a jeszcze w wyższym stopniu marksizm uważa życie religijne za prostą konsekwencję stosunków ekonomicznych; jeżeli Engels w sposób bezprzykładny, wychodząc z tego punktu widzenia, twierdzi, że nauka Kalwina o łasce i przeznaczeniu jest religijnym wyrazem tego faktu, iż w sferze handlowego spółzawodnictwa powodzenie lub upadek nie wynika z działań lub zręczności jednostki, ale z przyczyn całkiem od nich niezależnych, to poglądy takie trącą w wysokim stopniu śmiesznością... Z pomocą wiernej armji i dobrej policji można zakładać i przez całe wieki utrzymywać nastroje prawne, pozostające w najbardziej rażącej sprzeczności ze stosunkami ekonomicznymi." [6]) Tak więc „materjalistyczne pojmowanie dziejów", które w zasadzie nie było obce dawnemu utopizmowi, o ile w swej przesadnej formie stanowi znamienną cechę socjalizmu nowoczesnego, nie zdołało się utrzymać wobec krytyki.

Odcinając się od związku z systematami utopijnymi, Marx zarzuca im (w Man. kom.), że one nie opierały się na proletarjacie, jako na odrębnej klasie, posiadającej własną samodzielność historyczną i własny ruch polityczny; dlatego zamiast uznać prawidłowość rozwoju ekonomicznego, który tę klasę wyodrębnia i popycha w kierunku jej koniecznych dążeń, sławili cudotwórczą moc swoich osobistych wynalazków i budowali zamki napowietrzne nie dla proletarjatu, ale dla wszystkich członków społeczeństwa, których zamierzali uszczęśliwić i których powoływali do uczestnictwa we wspólnej pomyślności. Czyli — jak mówi jeden z najprawowierniejszych maksistów, Plechanow — socjalizm utopijny „wymyślał to, czego nie było", a naukowy „odkrywał to, co było w rzeczywistości". [7]) Zasadność tego rozróżnienia należy przyjąć w właściwej mierze. Utopiści nie mogli opierać się na ukształtowanej klasie robotniczej, bo ona w pierwszych dziesiątkach zeszłego stulecia jeszcze nie istniała. Jeżeli zaś pragnęli wyprowadzić z niedoli wszystkich biedaków bez względu na ich położenie społeczne i zapewnić szczęście całej ludzkości, to przyznać trzeba, że ich pojęcie prolatarjatu było daleko szersze i jako dźwignia reformatorska silniejsze, niż to, które socjaliści nowocześni zacieśniają często do kasty robotników przemysłowych lub nawet tylko fabrycznych, a ich komunizm dążył do tego samego celu, do stworzenia społeczeństwa jednolitego i bezklasowego, który przyświeca usiłowaniom i nadziejom obecnego socjalizmu. Maksiści szydzą z marzycieli, którzy wzywali wszystkie żywioły społeczne do ofiar na korzyść wydziedziczonych. Dziś, kiedy obóz robotniczy toczy wojnę i jest oddzielony od reszty świata głębokimi rowami, przez które przerzuca tylko klątwy i strzały, spuszczanie na jego fosy mostów zwodzonych wydaje się dziecinną zabawką, niebezpieczną próbą lub nawet zdradą; ale zanim ta armja bojowa powstała, naturalne było zwoływanie jej pod chorągiew wszystkich odczuwających nędzę i krzywdy źle urządzonego spółżycia. Kupiec Fourier, przemysłowiec Owen, hrabia Saint-Simon nie mogli być przekonani o zupełnej bezwrażliwości na sprawiedliwość społeczną burżuazji, nie mogli sądzić, jak Marx, że „jej socjalizm polega na twierdzeniu iż burżua jest burżuą w interesie klasy pracującej", bo sami byli burżuami. Czy rzeczywiście oni „wynajdywali" zamiast „odkrywać"? Jest to jedna z najmocniej akcentowanych różnic, chociaż w znacznym stopniu pozorna. Ci utopiści bowiem, chociaż nie posiadali ani władzy, ani krytycyzmu Marxa, równie jak on, mniemali, że spółczesny im okres rozwoju społecznego zawiera w sobie potrzebne pierwiastki zmiany. Omylili się, ale omylił się również twórca socjalizmu naukowego, przepowiadając blizkie skupienie się środków produkcji w niewielu rękach i rewolucję, tak że jego uczniowie musieli oba te wypadki odroczyć do dalekiej przyszłości. Tam fantazja i tu fantazja, tylko mniej bujna; tam utopja i tu utopja, tylko bardziej prawdopodobna. Różnica — jak trafnie zaznaczył E. Bernstein — jest ilościowa, ale nie jakościowa. Nie jest ona również uderzająca w innym porównaniu, na które kładzie nacisk W. Sombart. „Owen, Saint-Simom, Fourier i inni — powiada on — są utopistami dlatego, że nie uznają rzeczywistych sprężyn życia społecznego". Wierząc, że ono w istniejącym stanie jest tworem błędu, przeceniając wpływ wiedzy i uświadomienia ludzi, mniemali oni, że samo oświecenie ich wystarczy do wywołania przewrotu. Nie pojmowali, że ustrój społeczeństwa jest zawsze wyrazem stosunków siły składających go części i że niektóre z nich uważają go za doskonały i pragną utrzymać". Ale

---

Zarówno ten autor, jak wielu innych, opętanych przez ową *idee fixe*, czasem wyzwala się od niej i przez kilkadziesiąt stronic rozumuje niezależnie, ale ciągle przypomina sobie obowiązek przypięcia do swych wywodów sekciarskiej etykiety i wtedy wyskakują mu z pod pióra takie twierdzenia, jak: „Niewiara (w epoce humanizmu)... musiała odstręczać północnych barbarzyńców, w których dawny sposób produkcji zachował pierwotną energję i zdolność do uniesień" (*T. Mor.*, 135). Nieraz znowu spotykamy szczere wyznania mimowolnego humoru. Wiadomo, że do dogmatów marksizmu należy również upatrywanie w rozwoju społecznym d j a l e k t y k i Otóż Lux, przedstawiwszy teorję Cabeta, dodaje: „Naturalnie w takim systemie nie ma miejsca dla djalektyki" (1905). Takiemu stwardnieniu uległy mózgi skądinąd bardzo silne i elastyczne.

[5]) E. Bernstein, *Die Voraussetzung des Socialismus u. d. Aufgaben der Sozialdemokratie*. 1899, r. 1. (Przekł. pols. *Zasady socjal. i zadania soc. dem.* 1901).

[6]) *Neue Staatslehre*, ks. IV r. l. Przekł. pol. *Nowa nauka o państwie*, 1904.

[7]) W przedmowie do rosyjskiego wydania *Manifestu komunistycznego*, przekł. polski, 1905.

tę samą omyłkę popełniają socjaliści naukowi, dla których stało się to pewnikiem, że człowiek jest wypadkiem oddziaływań swego otoczenia społecznego. Marx nie zamknął księgi dziejów utopji, lecz pisał ją dalej, tylko umiejętniej. Zupełnie też słuszna jest inna uwaga Sombarta: „Nie należy sądzić, że z wielkimi przedstawicielami kierunku utopijnego zniknął również ze świata ich duch. Bynajmniej. Nie mija dzień, ażeby w jakimś piśmie lub mowie nie zmartwychwstały owe myśli, które stanowiły istotę socjalizmu utopijnego." [8])

(d. n,)

Kolektywizm a rzeczywistość.

II.

W łonie społeczeństwa współczesnego i w ustroju ekonomicznym dzisiejszym spoczywają elementy przyszłego rozwoju. Czy zwiastują one kolektywizm, czy też zapowiadają utrzymanie się przez czas dłuższy kapitalistycznego sposobu gospodarowania—oto pytanie, które wraz z Bourgouinem [1]) zadać sobie należy. Dzieło omawiane dostarcza nam obfitego, jakkolwiek jeszcze niedostatecznego dla sformułowania odpowiedzi materjału.

Nie będziemy się tu zatrzymywali nad statystyką chałupnictwa, rzemiosła drobnego i handlu. Głównym materjałem dowodowym są tu dane spisów zawodowych niemieckich z 1882 i 1895 r., które, wykazując ubytek drobnych przedsiębiorstw i pracowników samodzielnych w przemyśle i handlu, świadczą przecież o ich żywotności i trwałości w niektórych okolicach i specjalnościach. Fakty to dziś już znane ogólnie, a ze spisu z 1907 r. autor nie mógł jeszcze korzystać. Dotąd nie został w szczegółach opracowany. Bardziej stanowczym językiem przemawia skupienie się i organizacja wielkich przedsiębiorstw. Jeżeli chodzi o kapitał, to rozporządzają nim one dotąd prawie niepodzielnie. Operacje bankowe ulegają koncentracji, banki akcyjne dominują. W 1905 r. we Francji, pięć wielkich banków akcyjnych posiadały miliard franków kapitału zakładowego, a w depozytach i na rachunkach bieżących trzy i pół miliarda. Credit Lyonnais miał sam miliard franków w depozytach. Depozyty w 16 bankach akcyjnych na terytorjum Wielkiej Brytanji wynoszą blisko 10 miliardów franków. O istocie tego skupienia mógłby nas pouczyć dopiero skład tych depozytów i liczba depozytarjuszów W tow. ubezpieczeń na życie w Stanach Zjednoczonych Am. Płn., gdzie przejawia się podobne skupienie, ilość polis bieżących wzrosła 48 razy, a kapitały ubezpieczone tylko 38 razy, przeciętna jednostka ubezpieczeniowa obniżyła się przeto. Olbrzymieją pod względem rozmiarów organizacje kartelów, trustów, poolsów, opanowują rynki i żelaznym pierścieniem opasują wytwórczość i odbiorców. Autor amerykański Collier oblicza kapitał trustów na 42 miljardy w 1900 r. Trusty i kartele międzynarodowe (dynamitu Nobla, boraksu, rtęci, niklu, trust oceanowy towarzystw amerykańskich i angielskich, oraz kartel utworzony przezeń z towarzystwami niemieckimi i holenderskimi i t. d.) świadczą, iż rozwojowi przemysłu wielkiego nie stanie na przeszkodzie wroga polityka państw. „Kapitalizm u szczytu swych przejawów staje się ustrojem, w którym kilku miljarderów panuje za pomocą trustów i innych organizacji finansowych nad kapitałem 8—10 razy znaczniejszym od własnego, posiadając potęgę ekonomiczną, która dotychczas zdaje się nie posiadać równoważnika". Raffałowicz opowiada, że w Stanach Zjednoczonych pięć osób (J. Rockfeller, E. Harriman, P. Morgan, W. Wanderbilt, G. Gould) posiada majątek 4 miljardów frk., zarządza kapitałem 41 miljardów w bankach, kolejach żelaznych i przedsiębiorstwach przemysłowych, w których ogólna suma umieszczonego kapitału wynosi około 88 miljardów. Suma ta pokryćby mogła roczne zapotrzebowanie budżetowe większości państw europejskich. Koncentracja iść się przeto zdaje w myśl przepowiedni pisarzy kolektywistycznych: kapitalizm staje się jakoby dojrzałym owocem, po który rewolucja łatwo rękę wyciągnąć może.

To przecież dopiero jedna strona kwestji. Przedsiębiorstwa przemysłowe skupiają kapitały olbrzymie, których wyobraźnia zwykłego śmiertelnika ogarnąć nawet nie może. Już nie osobisty kapitał, poza którym stoi osoba fizyczna, ale akcje bezosobowe i wytworzone na podstawie dostarczonego przez nie kapitału przedsiębiorstwa, zapanowały na rynku. Akcjonarjuszami przecież stają się również drobni kapitaliści, ludzie niezamożni, a nawet robotnicy. Tak zw. copartnership rozwija się w Anglji, gdzie objęło już 112 firm z kapitałem łącznym 100 miljonów. Tylokrotnie krytykowany system udziału w zyskach robotników staje na najracjonalniejszej podstawie kapitalizowania tych zysków, przeobrażając je w akcje wypłacane robotnikom, a przecież pozostające ich własnością. Na kapitale akcyjnym, należącym do robotników oparty jest już nietylko familister w Guise, ale i papiernia Laroche Joubert we Francji, kompanje gazowe w Londynie, a wszędzie rezultaty wytwórczości okazują się doskonałymi, fabryki z dopuszczeniem akcjonarjuszów robotniczych pracują sprawniej od innych, a robotnicy są zadowoleni.

Postępy państwowych i prywatnych ubezpieczeń robotniczych zaznaczają się wyraźnie we wszystkich krajach, opieka prawodawstwa ochronnego obejmuje coraz to nowe warstwy robotnicze, przenika nawet do siedzib przemysłu chałupniczego (w Szwajcarji) i obejmuje pracowników rzemiosła. Ostatnie korzystają również z wynajmowanej częściowo siły motorów gazowych, naftowych, elektrycznych, łączą się w kooperatywnych składach i korporacjach przymusowych. Polityka stanu średniego dała wprawdzie w Austrji rezultaty ujemne, z powodu jak się zdaje korporacyjnego przymusu, ale w Szwajcarji rozwija się pomyślnie.

Nawet kwestja najtrudniejsza: usunięcia następstw niezawinionego bezrobocia, [2]) podjęta na wielką skalę w Anglji zbliżać się zdaje do swojego rozwiązania. Unemployed Workmen act z 1905 r. wytwarza w każdym mieście giełdy pracy i komitety pomocy, a państwowe ubezpieczenie od bezrobocia będzie następnym krokiem na tej drodze.

Kwestja robotnicza przejść tedy może w fazę łagodniejszą pod wpływem pokojowego działania polityki społecznej i rozsądnej oceny własnego interesu właścicieli kapitałów. Ostrze najmictwa raniące klasę robotniczą jako niestałość zajęcia, niepewność bytu i możność umierania z głodu przy swobodzie umowy między kapitałem i pracą, zostało już utracone. W tym kierunku idzie rozwój współczesny.

Zmienia się również pojęcie proletaryzacji mas. Płace zarobkowe na zachodzie wzrastały w drugiej połowie XIX stulecia szybciej od kosztów utrzymania. Bourgouin daje szereg ciekawych zestawień. Wynika z nich, że kiedy koszta utrzymania wzrosły we Francji całej o 21 proc., a w Paryżu o 19,8 proc., płace robotników przemysłowych podniosły się w Paryżu o 42 proc., robotnic o 50, w okolicach Paryża o 64 i 93 proc., w departamentach o 93 i 115 proc. Płace

[8]) *Sozialismus u. Soziale Bewegung im XIX Jht*, 1901, str. 18, 20.

[1]) Patrz Nr. 5 *Prawdy*.

[2]) Artykuły o niezawinionym bezrobociu podała *Prawda* w Nr. 47—49 r. 1909.

w rolnictwie wykazują powolniejszy przyrost (dla robotników dziennych o 44 proc., parobków folwarcznych o 38 proc., służących folwarcznych 55 proc.) ale zawsze wyższy, niż koszta utrzymania. W Belgji płace robotników mężczyzn podwoiły się, na czym skorzystali najwięcej najgorzej płatni. Nie widać natomiast wzrostu zarobków w Stanach Zjednoczonych Am. Płn.; rozrost przemysłu maszynowego obniżył w tym kraju wyjątkowo wysokie jego płace, zwłaszcza u mężczyzn dorosłych i to w tym okresie gdy wartość brutto przemysłu amerykańskiego podniosła się o 38,8 proc., a wartość maszyn o 60,5 proc. Kapitał stały zdobywa tam coraz większą przewagę i coraz bezwzględniejsze święci orgje. Z porównania płac realnych, t. j. mierzonych wzrostem, czy spadkiem cen na produkty spożywcze, wynika, że do 1891 r. płace te wzrosły we Francji o 58 proc., w Stanach Zjednoczonych o 81 proc., a w Trójjedynym Królestwie o 88 proc. Klasa robotnicza W. Brytanji czyni przeto największe postępy w zdobywaniu lepszych warunków bytu.

Wobec ewolucji, jaka się dokonywa w położeniu robotników, pojęcia najemnika i proletarjusza oddalają się od siebie. Samodzielny rzemieślnik, a nawet wielekroć źle płatny urzędnik państwowy, czy pracownik oddający się liberalnemu zawodowi częstokroć bardziej zasługują na miano proletarjuszów, niż dobrze płatny zorganizowany robotnik. Kładziemy nacisk na to rozróżnienie, ponieważ w najbliższej przyszłości nawet przy rozroście przedsiębiorstw państwowych, gminnych i współdzielczych niema danych zapowiadających zniesienie najmu, a nawet nie widzimy systemu wynagrodzenia, któryby mógł wejść na jego miejsce. Przedsiębiorstwa państwowe wykazują istotnie zdumiewające postępy. Środki fiskalne służące dawniej wyłącznie dla poparcia władzy i potęgi wojskowej panującego stały się źródłem dochodów państw demokratycznych. Naturalnie celem musi tu być w dalszym ciągu zysk, ale państwo nie może bezkarnie wyzyskiwać robotników ani konsumentów: przedsiębiorstwa państwowe (np. budowy okrętów w Anglji) zaprowadzają 8-godzinny dzień roboczy, zachowują ceny umiarkowane podczas przesileń (np. zarząd pruskich kopalni węgla w zagłębiu Sary w 1900 roku), ustalają taryfy płac i t. d. Zjawia się również wzgląd konieczny na wygodę i dobrobyt obywateli, który zwł. w przedsiębiorstwach środków komunikacyjnych wysuwa się na plan pierwszy. Ustępując towarzystwu prywatnemu korzystanie ze swego monopolu, państwo zastrzec sobie może dozór, udział w administracji, a przeto postawić szranki kapitalistycznego wyzysku. Socjalizm gminny poczynił ogromne postępy w Anglji, Stanach Zjedn., Niemczech, Austro-Węgrzech, w Szwajcarji i we Włoszech. Obliczają, że kapitał zużyty na wodociągi miejskie w 1045 miastach angielskich wynosi przeszło 1,700 miljonów, w Stanach Zjedn. na umiastowienie wodociągów wydano przeszło 2,500 mil. franków. Dostarczanie wody, gazu, światła elektrycznego, komunikacji tramwajowych nie wyczerpują działalności socjalizmu miejskiego. Ze względu na zdrowotność publiczną w Anglji burzy się całe dzielnice, zamieszkałe przez najuboższą ludność, a na ich miejsce wznosi inne. Rada hrabstwa Londynu dostarczyła już zdrowych i wygodnych mieszkań dla 20-tysiącznej ludności, a projektuje wzniesienie dzielnicy dla nowych 80 tysięcy. Piekarnie, rzeźnie i apteki miejskie są już dziś liczne we Włoszech. Miejski skład węgla istnieje nawet w zacofanym Krakowie, jego otwarcie spowodowanym zostało przez lichwę węglową. Wszystkie te postaci socjalizmu opierają się przecież na systemie pracy najemnej, podobnie jak przedsiębiorstwa kooperatyw spożywczych, a nawet wytwórczych.

Dążności do kolektywizmu, nie dające się zaprzeczyć w przemyśle dzisiejszym, w innej postaci przejawiają się w rolnictwie. Rozwój własności drobnej tworzyć się nawet zdaje tendencję wprost przeciwną. Rozrost liczby przedsiębiorstw drobnych, konsolidowanie się samodzielnej posiadłości włościańskiej, to zjawiska ogólnie dziś znane w krajach lądu stałego Europy. Własność włościańska zajmuje coraz więcej przestrzeni, posiadłości wielkie wielekroć utrzymać się nie mogą, a to jak przekonała przeprowadzona w ubiegłym roku przez francuskie ministerstwo rolnictwa ankieta, głównie z braku robotnika, emigrującego do miast. Wyniki techniczne uprawy rolnej na małej posiadłości nie ustępują,a nawet przewyższają plony zbierane w gospodarstwach większych. Wszystkie te momenty zapewniają trwałość posiadłości włościańskiej i nie dopuszczają do koncentracji przedsiębiorstw rolniczych. Pomimo to zbiorowa forma wysiłków, zepewniająca drobnej posiadłości korzyści większego przedsiębiorstwa, rozpowszechnia się dziś w rolnictwie w formie kooperatyw dla zakupna i sprzedaży, oraz kredytu rolnego. Kooperatyzm w rolnictwie święci prawdziwe tryumfy. Mleczarnie współdzielcze w Niemczech liczą 110 tysięcy stowarzyszonych, którym wypłaca się rocznie 125 mil. franków za dostarczone mleko. Rozpowszechniły się również w Szwecji, Norwegji, Danji, we Włoszech, w Niemczech, Austrji a nawet w Syberji. Kooperatywy owocarskie w Szwajcarji i Tyrolu, winiarskie we Francji i w Niemczech przeobraziły gospodarstwa stowarzyszonych. Wraz z Bourgouinem powiedzieć można, że nie daje się nawet przewidzieć, jak daleko zajdzie ten ruch i jakie formy przybierze rolnictwo drobne pod jego wpływem.

Wobec tych faktów, które mnożyćby można tysiąckrotnie nawet na podstawie dostarczanych przez dotychczasowe statystyki danych, nie możemy się zgodzić z Bourgouinem, aby w społeczeństwie spółczesnym przejawiały się jedynie tendencje zdemokratyzowania bogactw. Przeciwnie w każdej dziedzinie, wśród przeważającej jeszcze olbrzymio własności prywatnej środków produkcji i odpowiedniego z nich korzystania, rozsypane są zarodki socjalizacji gospodarstwa. Kolektywizm nie idzie wprawdzie ani tak szyb ko, ani po drodze tak prostej, jak przepowiadają socjaliści. Nie stoimy ani w przededniu powszechnego kladderadatschu, ani u progu społeczeństwa kolektywistycznego. Nie możemy również przepowiedzieć, kto będzie zarządzał środkami produkcji. Przeciwnie nawet, coraz wyraźniejszym się staje, że nie będzie to ustrój wyłącznie państwowego i gminnego kolektywizmu, a prawdopodobnie i kooperatywy nie zapanują nad całą dziedziną wytwórczości. Sądzimy również, że współzawodnictwo różnorodnych grup społecznych długo jeszcze będzie regulowało podaż i zapotrzebowanie.

Kto wie jednak, czy dalekim jest czas, w którym anomalją nie do zniesienia stanie się panowanie królów kapitału, a miljardy ich i władza nie zostaną zaliczone do potworności społecznych.

Książka Bourgouina ułatwia nam zorjentowanie się w tych zjawiskach. Jest to książka dobra, zajmująca i napisana przez szlachetnego miłośnika prawdy i ludzkości. Należy się przeto podziękowanie pp. Wróblewskiemu i Aleksandrowiczowi za jej poprawne i staranne spolszczenie. *zdg.*

LITERATURA i SZTUKA.

Wśród najnowszej beletrystyki.

Koteczka czyli białe tulipany. Nowele. Z. Rygier-Nałkowska. Lwów, Wyd. Połonieckiego. — **W twardej służbie**. Nowele. Andrzej Strug. Kraków. Wyd. Tow. „Książka". — **Romans Marty**. Powieść. Jerzy Bandrowski.

Warszawa. Wyd. J. Czempińskiego. — **Z Jakuckiego Olimpu**. Bajka. Adam Szymański. Kraków. Wyd. Autora. — **Psie dusze**. Nowele. Zygmunt Bartkiewicz. Warszawa. Wyd. Gebethnera i Wolffa. — **Dziewczęta**. Nowele. Iwo Płomieńczyk. Lwów. Wyd. Tow. Wydawn.

Sezon wydawniczy tegoroczny przyniósł na rynek spożywczości literackiej nowele p. Rygier - Nałkowskiej „Koteczka czyli białe tulipany". Czyta się je z zainteresowaniem a bez trudu, nie wstrząsają napięciem sytuacji, a jednak przykuwają uwagę czytelnika. Jedna z pośród nowel o bardzo drastycznej fabule (Dzień ten) ma w sobie wiele poezji i kobiecego uroku w obrobieniu tematu. Pani Nałkowska jest pierwszą piszącą *kobietą*, w konserwatywnym tego słowa znaczeniu. Wszystkie autorki usiłowały uderzać w struny męskości, p. Nałkowska zaś maluje świat pod kątem widzenia „Kobiety". Kobieta w rozumieniu p. Nałkowskiej jest zgoła czemś innym, niż to sobie wyobrażają różne reformatorki. Wszystkie kobiety w pracach p. Nałkowskiej kochają „estetykę niewoli" upajają się poezją całunków, które nigdy istnieć nie powinny, „dorabiają zawsze sztucznie coś do stylu". Ten świat maluje p. N. z całą jego nikłą drobiazgowością, z „przeglądaniem tego świata pod słońce przez długie włosy". Nieuprzedzony czytelnik, byle nie reformator, społecznik, przeczyta te nowele, chcące przenieść rzeczywistość w świat „Kobiecej bajki o życiu" z wdzięcznością. Upajają one, jak haszysz nęcą tęczowością i ekstrawagancją obrazów, pięknie kołyszą do snu. Wszyscy ci, którzy lubią piękne sny, niech książki p. Rygier Nałkowskiej, nie pomijają. Daje ona bowiem sposobność pięknego „przemarzenia" chwili.

Kto natomiast bierze książkę beletrystyczną do ręki i szuka w niej głębokich przeżyć pewnej epoki kulturalnej — niech nie omieszka przeczytać nowej serji nowel Andrzeja Struga p. t. „W twardej służbie". Nic w niej z marzeń i snów, bo nawet marzenia w tej książce są rzeczywistością dziś przeżywaną Głębokie akordy wstrząśnień idejowych grają w duszach, żyjących na stronicach prac Struga; mówią nam, że piękna nie trzeba wcale wyszukiwać, trzeba tylko umieć żyć, żyć świadomie i widząco. Pani Nałkowska, chcąc życie „upiększać", dorabia „coś do stylu". U Struga twórczość sama, życie samo jest tak piękne i majestatyczne, że sam fakt skonstatowania daje plastyczne, bohaterskie linje. Twórczość Struga w zatęchłą atmosferę „nastrojów" prozodyjnych wnosi nowy wiew wiosenny, wróżący, że nowa karta piśmiennictwa polskiego już rozpoczyna powstawać. Beletrystyka bowiem tak ugrzęzła w różnych „absolutnie-wiecznych" tematach, że przeoczyła tematy stającego się życia. Tylko wyjątkowo wybitne indywidualności utrzymały się w rytmie budującego swoją treść życia i dawały w pracach czynne swoje współdziałanie. Ogólnie zaś wiele zadrukowywano papieru przeróżnymi wibracjami „serc stęsknionych", „serc zrozpaczonych", „serc bólem pijanych".

Grupę tego rodzaju utworów powiększyła powieść p. Jerzego Bandrowskiego „Romans Marty". Właściwie powieść ta powinna się nazywać romansem literata Podsońskiego. Osoba Marty jest tu tylko kanwą do snucia wątku o życiu pewnego młodego literata, który został sławny i dlatego wyjechał zagranicę. Poza tym powieść ta jest napisaną po to, by czytelnik dowiedział się, jak rozpacznie biedną i kulturalnie-powierzchowną jest dusza współczesnego literata. Zagadnienia natury psychologicznej i moralnej rozważa ten pan z kawiarnianym tupetem cynicznych „gieniuszów", których po knajpach zagranicznych i warszawskich spotkać można na każdym kroku. Wyższość p. Podsońskiego nad adwokatem Kwiatkowskim polega na tym, że Podsoński pożycza bez wszelkich skrupułów od niego pieniądze. Kwiatkowski przecież interesuje się ruchem umysłowym, interesuje się zagadnieniami natury socjalnej, a p. Podsoński poluje na „węgierskie śliwki", prawi brednie à la übermensch, no i... zapomniał już o wszelkich prądach filozoficznych i naukowych. Właściwie p. Podsoński robi wrażenie, że nigdy o nich nie pamiętał. To każe wysnuć wniosek, że jest zupełnie zbyteczny. Przydałoby się więcej p. Kwiatkowskich. P. Bandrowski nic nowego nie dorzucił do skarbca naszej literatury powieściowej. Wszystko cokolwiek w swojej pracy powiedział — spotykaliśmy często. Racją artystyczną konieczności tej książki również wytłomaczyć niepodobna. Wiele miejsc mówi o pewności pisarkiej p. Bandrowskiego, lecz są to zalety samego tematu. Dawać ludzi głupich, skabotyniałych o wiele łatwiej, niż tworzyć jednostki n ądre w sensie ujemnym czy dodatnim. Dostatecznie porównać takiego Bauera z „Romansu Marty" ze Spłazą-Spławskim Żeromskiego. Różnica patrzenia na ludzi narzuca się z całą jaskrawością.

Adam Szymański po długim milczeniu wypuścił w świat nową swoją książkę. Autor „Srula z Lubartowa" tym razem daje rzecz fantastyczną, egzotyczną, przepojoną właściwą jego talentowi uczuciowością i sentymentem, dziwną bajkę syberyjskich stepów i tajg: Jurdjuk usiuk us. Jest to opowieść o tonach srebrnej zadumy nad dolą człowieka. Można się nie zgodzić na strukturę tej bajki, można robić różne zarzuty, lecz trzeba oddać mu tą niezaprzeczoną sprawiedliwość, że Szymański poludzku, serdecznie widzi życie.

Po bajce Szymańskiego przeczytanie nowel p. Iwo Płomieńczyka nie pozostawia wrażeń ani myśli. Jego „Dziewczęta" nie wnoszą nic nowego. Tematy odwieczne, ujęcie zagadnień nie przedstawia się zaciekawiająco, artystyczne koncepcje pod względem stylizacji błahe, nikłe, żadne. Książka p. Płomieńczyka tylko w dorastających dziewczętach może wzbudzić zainteresowanie i to tylko w tych, które nie nauczyły się patrzeć w swoje własne przeżycia. Przy „stylizacyjnych" zdolnościach Nałkowskiej p. Iwo Płomieńczyk ginie, nie pozostawia czytelnikowi żadnej pozytywnej wartości, któraby kazała zastanowić się głębiej nad płodami jego pióra.

„Psie dusze" Z. Bartkiewicza przerzucają nas w świat odmienny. Język mocny i zdecydowany, plastyka każdego słowa zdumiewająca — a przy tych zaletach jeszcze jedna, według mnie największa, gdyż w żywe struny człowieczego serca potrąca. P. Bartkiewicz pisze swoje bolesne nowele krwawą żółcią człowieka, co widząc ohydę i brud, dostrzega jednak pod tym wszystkim możliwość serdecznych łez i zachwytów. Jakiż to bowiem nakaz każe biednej prostytutce rzucać swoje zapracowane i przeznaczone na wyzwolenie pieniądze złodziejowi i włóczędze i jeszcze tulić się do niego serdecznie? A jak ta kobieta słodko się kaja, jaką świeżością pachną jej słowa:

Cierpiałeś przeze mnie... Masz Ignaś i bierz... I już tak zostanę, jak byłam, bo z czegoż bym tobie... I bij... ale nie ciśnij mię Ignac, — nie ciśnij, bo Pan Bóg cię... Autor dopowiada jeszcze od samego siebie:

„Skowyt w niej zakotłował, ugięły się nogi, zwisła na stole, patrząc z pijaną rozpaczą w twarz swego pana."

Czy wiesz, czytelniku, co znaczą te słowa w ustach sprzedajnej prostytutki. Uzbierała sobie przecież te kilka rubli, by się wyrwać z domu ohydy, lecz cóż ona może, kiedy pająk miłości omotał jej serce.

Sieć gnębiąca jej życie zaciska ją bardzo, gubi — a zresztą wszystko jej jedno. Tylko „nie ciśnij mię Ignac". Tak skarży się każdy człowieczy ból, tak łka każda ludzka tęsknota. Rytm serca pism Bartkiewicza szerokim rozpłynie się kołem. Bartkiewicz bowiem rokuje pyszne nadzieje. I gdyby mu było danym jeszcze — jak to ma miejsce u Struga — rozu-

mieć tendencje życia, należałoby przepowiadać piśmiennictwu świetne, niebywałe stronice.

Na razie możemy mieć tego rodzaju nadzieje co do Struga. Każda nowa jego książka przynosi nowe barwy i aromaty, nowych ludzi, nową duszę polską. Takich ludzi literatura jeszcze nie miała. Tematów opartych na kontakcie z pracą społeczną spotykaliśmy w literaturze wiele. Wszystko to jednak było „idealizowaniem", nie ukazywało istotnego wnętrza tych. co „przeżyli mękę oczekiwania". „Materjalista dziejowy", człowiek czynu i woli znajduje tam swoją pozytywną filozofję i psychologję. Już nie przez szkła mieszczańskiego „bohaterstwa" — lecz przez pryzmat woli i pracy zostały pokazane społeczeństwu te dusze których „samotne męstwo" niczego oprócz podziwu wzbudzić nie było w stanie. Literatura ze społeczników robiła średniowiecznych świętych — u Struga są oni pokazani w całej ich zbroi duchowej i materjalnej. Z bezkrwistych manekinów cnoty nareszcie mamy ludzi żywych, ludzi takich, jakimi oni są w teraźniejszej rzeczywistości.

Oby ich było jaknajwięcej!

Eustachy Czekalski.

TEATR ROZMAITOŚCI: **Srebrne szczyty.** Komedja w 5 aktach Tadeusza Konczyńskiego.

Andrzej Gide, zastanawiając się nad rozwojem estetyki teatru, twierdzi, iż zasadnicza różnica stosunku teatru do życia w starożytności a dzisiaj polega na tym, że Grecy np., żyjąc bujnym prawdziwym życiem, żądali od teatru maski, iluzji — my zaś odwrotnie: żyjemy w maskach pozorów życia, więc chcemy, *przynajmniej na scenie* widzieć tak zwaną „życiową prawdę", choćby bardzo nieponętną, a nawet wręcz odpychającą swą trywjalną wiernością. Mizerne zaprawdę pragnienia. Zmora owego ciążenia ku *surowemu* odtwarzaniu życia w dziele dramatycznym legła kamieniem na piersi twórców scenicznych i pęta wzloty większości talentów dramatycznych współczesnych, a więc i polskich.

Takie refleksje cisną się do głowy, gdy się pomyśli, jak piękną rzecz mógłby był stworzyć autor „Srebrnych szczytów", gdyby był się odżegnał od zmory owej znakiem Poezji i nie myślał o tym, by sztuka jego kończyła się *tak jak w życiu*, lecz troskał się raczej o rozwiązanie konfliktu dramatycznego w duchu własnej *prawdy artystycznej*, jedynie go, jako twórcę, obowiązującej.

Bo i cóż z tego, że, rozstawszy się z niekochanym mężem, Janina Warnicka po krótkiej idylli miłosnej z redaktorem Lagockim odda go żonie, rodzinie i „społeczeństwu", a sama zacznie t. zw. „nowe życie", szare, smutne, bezsłoneczne?... Czy autor umotywował przynajmniej konieczność takiego obrotu rzeczy ideą ekspiacji za „grzech", lub rzekomo wyższymi od miłości celami życia?... Nie. Poprostu chce nam powiedzieć takim rozwiązaniem, że „tak dzieje się w życiu". Wiemy o tym, autorze, znamy takie rozwiązania aż nadto dobrze — i dlatego właśnie radzibyśmy ujrzeć na scenie twoje własne, nie „z prawdziwego zdarzenia". A był moment, akt drugi (najtęższy w sztuce), kiedy napięcie dramatyczne rozpiera szranki „powieści dramatycznej" i wznosi się na wyżynę, skąd lada chwila gotowe wybuchnąć akordami głębokiego tragizmu. Autor wolał jednak zawrócić z tej wyżyny ku nizinom życia. Szkoda. Ów akt drugi, w którym Janina wyjawia mężowi, że kocha Lagockiego i jest jego kochanką, zbudowany mocno, konsekwentnie, a zagrany świetnie przoz Wostrowskiego (mąż Janiny), Kozłowską (Janina) i Nowickiego (Lagocki), stwierdza, że talent dramatyczny autora „Otchłani" i „Kajetana Oruga" okrzepł znacznie i może nam dać w przyszłości niewątpliwie dzieło wysokiej próby, gdy autor zdobędzie się na miłość do własnej prawdy artystycznej i budować zacznie pod jej znakiem i urokiem pewnie, jednolicie, a górnie. Życzymy tego szczerze utalentowanemu pisarzowi.

„Srebrne szczyty" stały się wielkim tryumfem Wostrowskiego. Znakomita kreacja tragicznego lekkoducha, jaką stworzył p. W., wywołała w widzach prócz głębokiego wzruszenia żal, że ten świetny artysta tak rzadko ukazuje się na deskach Rozmaitości.

Z trudnej roli Janiny wywiązała się p. Iza Kozłowska nadspodziewanie pomyślnie. Choć w ruchach i mimice młodej artystki pokutują jeszcze pewne prowincjonalne nałogi, było w jej inteligientnej grze sporo momentów rzetelnego piękna. Lagockiego grał Nowicki, poprawnie, choć nieco sztywno. Brydziński wybornie odtworzył postać poety Leszczyca, narysowaną przez autora bardzo umiejętnie i z dużym poczuciem stylu.

Reszta wykonawców sumiennie sekundowała przedstawicielom ról głównych. Sztuka została wystawiona i wyreżyserowana nader starannie — jak przystało na pierwszorzędną scenę dramatyczną.

TEATR MAŁY: **Kochliwi czyli Djalogi o miłości.** Trzy jednoaktówki Kazimierza Wroczyńskiego.

Słusznie bardzo postąpił p. Kazimierz Zalewski, dając gościnę na swej scenie debiutowi dramatycznemu Kazimierza Wroczyńskiego, młodego poety lirycznego. Dowiedzieliśmy się, że teatrowi polskiemu przybywa nowa siła, która choć nie dała jeszcze dzieła trwałej wartości, zamanifestowała swą przyszłą tężyznę tak niezawodnie, że o talencie dramatycznym autora „Circenses" wątpić nam niewolno.

Wprawdzie w wystawionych w teatrze Małym jednoaktówkach dużo jeszcze reminiscencji schnitzlerowskich, dużo grymasów kabaretowych niemieckich, groteskowości zbyt chwilami jaskrawej i bezceremonjalnej — lecz z pod tej szminki przegląda oblicze autora dość wyraźnie, by zapanować nad „charakteryzacją". Najsłabszym w pomyśle i budowie jest dramat „Ona", opiewający przygody miłosne kabotyna-literata; są tu rażące niezręczności pierwszych kroków— przytym i obsada tej sztuki najmniej była fortunną. „U szczytu" jest utworem znacznie dojrzalszym i zdradza najdobitniej cechy talentu nowego dramatopisarza: ironiczny uśmiech, gdy autor mówi nam, jak to życie załatwia się z miłością, cięty dowcip, werwa i nerw sceniczny, który przedewszystkim świadczy o talencie pisarza dramatycznego.

Do powodzenia tego „djalogu o miłości" przyczyniła się niemało wysoce inteligientna i subtelna gra „maski rococo" p. Bachnerówny, b. art. teatru Ludowego i p. Kuncewicza, — pierota, uwikłanego w sieć miłosną okrutną ręką pięknej bankierówny, bezwzględnie traktującej uczucie prokurenta firmy ojcowskiej. Najwięcej jednak zajął nas p. Kuncewicz swą doskonałą charakterystyczną grą, jako Franek - alfons (zbyt wyraźnie spokrewniony z Pochroniem) w ostatniej jednoaktówce p. t. „Pierścień powrotu". Bohaterka utworu, Ludka-Dodo, oblegana przez utytułowanych i bogatych protektorów, a idąca posłusznie „do nogi" pierwszemu swemu kochankowi, „międzynarodowemu" rzezimieszkowi, narysowana z dużym odczuciem psychologji postaci i umiarem artystycznym, wyborną znalazła wykonawczynię w p. Łąckiej-Pawłowskiej, uroczej i sprytnej filutce-Dodo z księciem i prezesem (b. dobrze zagranym przez p. Orlińskiego), a oddanej i uczuciowej Ludce w lirycznych scenach z kochającym ją „na swój sposób" brutalem Frankiem, jedynie sercu jej miłym.

Wacław Rogowicz.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

W *Ziemi lubel.* czytamy pełen rozpaczliwych wniosków list z Podlasia.

„My już giniemy, bo zatracamy wartość moralną, poczucie narodowe, bo brak nam skupienia się, tracimy siłę wewnętrzną, która trzyma narody, bo niewieściejemy, boimy się wysiłków, które męczą, bo zadaleko jest Warszawa, a prasa woli notować rauty, bale, stroje u siebie, niż stać na straży interesów kącika kraju, który skazany jest na wymarcie i wywłaszczenie. Boimy się praw wynaradawiających i wywłaszczających, kiedy my tutaj oddawna to uprawiamy. Bank Włościański stale tu pracuje; dobrowolnie się wywłaszczamy, oddając ziemię Bankowi, którego zadaniem jest rusyfikować kraj. Do Banku na Podlasiu mają przystęp tylko prawosławni. Ziemia, oddana Bankowi na Podlasiu, już nigdy nie wróci do rąk polskich. Majątki ziemskie oddawane są nietylko elementowi miejscowemu prawosławnemu. „Hola“ np. rozprzedana została starowiercom napływowym.

Co smutniejsze, jak w Poznańskiem, trafiają się wyrzutki śród naszych obywateli, którzy skupują majątki li-tylko w celu parcelowania na Bank.

Jeden z takich panów niedawno rozparcelował jeden majątek około Sosnowicy, obecnie pertraktuje o Wolę Wereszczyńską w tym samym celu“.

W przeciągu paru lat zaledwie rozparcelowano w ten sposób kilkanaście majątków — ziemi na wieki dla nas straconej.

* *Kurjer Poranny* przytacza następujący (wydrukowany w czasopiśmie lwowskim *Jedność)* opis Bertolda Merwina wrażeń przez niego przeżytych na wiecu, zwołanym w przedmiocie stosunku władz autonomicznych do Żydów:

„W przeciągu dwuch godzin znajdowałem się w najciemniejszym, najobskurniejszym, mrocznym średniowieczu. Miałem wrażenie, że oto najfanatyczniejszy, najdzikszy, biczem najbrutalniejszych instynktów smagany plebs święci orgję rozpasania i moralnego wyuzdania. Wstydziłem się, żem żyd... Stałem na trybunie i patrzałem na te świecące żarem płonącego fanatyzmu oczy, na te drgające w gorączce nienawiści usta, na tych zimnych, świadomie i celowo w lud jad wpuszczających przywódców, śrubujących wężowymi sploty w te ciemne masy hasła nienawiści i bratobójczej walki, hasła, których potym nie sposób z tego ludu wytrząść. Kiedy mi mówić nie dawali — wolałem zadać sobie pytanie: dla czego ci ludzie właściwie tak wrzeszczą? Oto jedynie krzyczeli, bom Polak, bo się poczuwam do przynależności do narodu polskiego. I kiedy przedstawiciel polskiego socjalizmu chciał do nich przemówić, tom widział: stojący naprzeciw mnie młody człowiek, o żarzących namiętnością oczach i pokrytych rudymi, hektycznymi plamami policzkach, żachnął się, jakby go kto rozpalonym żeleźcem osmalił, ryknął: nie mówić po polsku! nie mówić!! A kiedy Wielki Inkwizytor antypolskiego szału Gerszon Zipper, rzucał klątwy i „czarny rok“ pomoru i śmierci przyzywał na swych wrogów — wówczas miał wyraz tak straszny i ohydny, że przypominał mi dawno widziany sztych, na którym desperaci fanatyzmu ostrzą święcone noże... Wszak sjonizm zapowiadał kulturalne odrodzenie żydowstwa, renesans ciemnych mas, uszlachetnienie jednostki gnieżdżącej się w mrocznych zaułkach Ghetta. Więc tak wygląda ten renesans? Więc takie jego objawy? Więc tacy prorocy tego odrodzenia?“

„Więc Leonardo da Vinci renesansu żydowskiego wcielił się w postać Gerszona Zippera? Więc droga do sjonizmu prowadzi do takiego rozbestwienia?“

Z najszlachetniejszego prawa, jakie ma każdy do zachowania swej indywidualności osobistej i narodowej, ciemne duchy intrygi i własnego interesu zrobiły przekleństwo wiecznego nieszczęścia.

* P. Kazimierz Rakowski, znany publicysta obozu katolickiego w *Sztandarze* tak charakteryzuje działalność księży w publicystyce.

„Prasa polska staje się areną, na której księża publicyści wyprawiają jakieś dzikie harce, dając z siebie pośmiewisko dla tłumu! Jest to stan, który dłużej tolerowany być nie może. Jeśli władza duchowna tu nie wkroczy i nie położy kresu wyuzdaniu słowa, wkroczy organizacja zawodowa i będzie wstyd.

Niektóre artykuły, drukowane przez ks. Majewskiego lub ks. Charszewskiego, bądź w *Myśli Katolickiej*, bądź w innych pismach różnej wartości, sprawiaja wrażenie, że w zaciekłości, zapamiętaniu, mściwości i rozkoszowaniu się szarpaniami dalej posunąć się już nie można. Takie wyuzdanie słowa pisanego, takie opanowanie pióra przez niższe instynkty rzuca ujemne światło na cały stan duchowny.

Gdy się czyta artykuły, ziejące nienawiścią, drukowane przez ks. Kłopotowskiego, ks. Majewskiego i ks. Charszewskiego, to mimowoli zapytać trzeba: jakto, więc ci ludzie, w których duszach niema krzty miłości, mają być przewodnikami ludu? Czegoż oni go nauczą?... Więc to mają być apostołowie chrześcijaństwa? Na Boga, nie mówcie nam o takim chrześcijaństwie, bo tylko bluźnicie“...

Nie podzielamy złudzeń p. Rakowskiego, że władze duchowne to zło naprawią. Inb naprawić mogą. I nietylko dlatego, że jak przypuszcza p. Rakowski, władze te „są zbyt wygodne”, że „nie mają dość powagi i chęci”.

Księża „publicyści”, jak ks. Kłopotowski, ks. Majewski, ks. prefekt Charszewski, to nie zjawisko odosobnione, lecz szpetna wysypka, świadcząca o głębszej chorobie. Ta „zaciekłość, zapamiętanie i mściwość” to „wyuzdanie słowa”, które tak rażą p. Rakowskiego w szermierce zacietrzewionych księży między sobą, stosowane jest stale przez wszystkich niemal publicystów duchownych w walce z niemiłymi im „heretykami”, „niedowiarkami”, a zwłaszcza „zżydziałymi postępowcami”.

Ta zaciekłość i zapamiętanie nietylko nie jest powstrzymywana ale nawet uprawiana przez dygnitarzy kościelnych, że wspomnimy pamflety biskupa Niedziałkowskiego i pełen fałszywych insynuacji, oskarżający Niemojewskiego list biskupa Zdzitowieckiego. Dziesiątki takich prefektów, jak ks. Charszewski, gospodarzą w szkole polskiej, terroryzują ją i są „przewodnikami” młodzieży, uczą ją moralności. Setki takich, jak ks. Kłopotowski, zniepraw iają nasz lud słowem i pismem.

Kiedyś społeczeństwo zada sobie co do nich pytanie, które sobie postawił p. Rakowski: „Czegoż oni nauczą lud, oni, w których duszach niema krzty miłości”?

KRONIKA.

NASZA MŁODZIEŻ AKADEMICKA. Na zasadzie danych, udzielonych przez Zarząd „Zjednoczenia towarzystw młodzieży polskiej zagranicą”, p. Wł. Studnicki w *Kur. Warsz.* oblicza ogólną liczbę młodzieży akademickiej polskiej ma 11 do 12 tysięcy.

Więcej niż połowa tej młodzieży kształci się w Galicji, a mianowicie: na uniwersytecie Lwowskim 2,368, Krakowskim 2,733, na politechnice we Lwowie 1,402, czyli razem w Galicji 6,503 osób, w czym przeszło 40 proc. z za kordonu. W innych uniwersytetach i politechnikach austrjackich kształci się około 700 — 750 studentów.

Poza Austrją w Europie Zachodniej kształci się 2,831 studentów i studentek, a mianowicie 1,940 z Kró-

lestwa i Cesarstwa, 775 z zaboru pruskiego i 116 z austrjackiego. Słuchaczek jest w tej liczbie 9,1 proc. W rosyjskich uczelniach kształci się podobno do 2,500 Polaków. Najniższą liczbę studentów daje zabór pruski. Stanowiąc 15 proc. ogółu ludności polskiej, daje on, włączając 200 teologów, tylko 6 proc. ogólnej liczby studentów.

Koszty studjów naszej młodzieży w europejskich uczelniach (bez Austrji) szacują na 1,362,200 rubli.

KOMETA HALLEY'A. Ciekawe szczegóły o mającej się ukazać w maju oczom naszym komecie podaje w dod. „Nauka i Życie" *Nowa Gazeta*. Wybieramy kilka charakterystyczniejszych. Kometa ta, ochrzczona nazwiskiem swego odkrywcy Halley'a, jest ze wszystkich wielkich dla świata widzialnych jedyną, której bieg można w duchu ciągle śledzić, o której zatym wiedziano też zawsze, gdzie się śród gwiazd znajduje, jakkolwiek najsilniejsze nasze dotychczasowe optyczne środki pomocnicze są nieudolne i rzadko bardzo nam ją ukazują. Nawet wtedy, gdy odbiega od nas najdalej, t. j. gdy jest od ziemi 35 razy dalej, niż słońce, można dokładnie powiedzieć, gdzie niewidzialna wędrowniczka niebieska się znajduje.

Astronomowie angielscy, Crommelin i Cowell, ogłosili niedawno wyniki kilkoletniej pracy swojej, której przedmiotem było śledzenie komety Halley'a podczas 75-letniej nieobecności i obliczenie jej biegu, gdy się w pobliżu ziemi ukaże. Według tych obliczeń najpóźniej w końcu kwietnia będzie można przed wschodem słońca widzieć kometę gołym okiem. Wszelako znajdować się będzie jeszcze bardzo blisko słońca, którego promienie poniekąd ją przyćmią; nadto zaś, dla naszych szerokości, stać będzie bardzo blisko horyzontu. Pięknego widoku zatym o tej porze jeszcze nie przedstawi. W dn. 20 kwietnia kometa będzie najbliżej słońca i rozwinie wówczas teoretycznie największą długość ogona. Ale dla nas zajmować będzie jeszcze ciągle stanowisko niekorzystne. Oddalenie jej od nas wynosić będzie jeszcze 180 mil. klm., czyli stać będzie dla nas zawsze jeszcze z tamtej strony słońca.

Jeśli więc zestawimy te wszystkie dane, przypuszczać należy, że kometa *najpiękniejszym blaskiem zajaśnieje dla nas w dn. 25-tym maja*, poczym blednąć będzie szybko, a w czerwcu zniknie już dla gołego oka.

To przejście komety między słońcem a ziemią dn. 18/19 maja narobiło już niemało hałasu: wytworzyły się rozmaite legiendy, powstały różne przepowiednie, tysiące ludzi ze strachem niewątpliwie wyczekuje owych chwil, kiedy — jak głoszą z całą stanowczością niektórzy astronomowie — przesuwać się będziemy przez ogon straszliwej komety. Nauka, mimo olbrzymiego rozwoju swego, nie zdołała wytępić zabobonu — ludzie, podobnie, jak przed wiekami, jak podczas ostatniego ukazania się komety Halley'a w roku 1835-tym, spodziewają się, że jej powrót przyniesie koniec świata.

Do szerzenia tych obaw, wprost dziecinnych, przyczyniają się niepomiernie rozpowszechniane przez łaknące sensacji dzienniki bałamutne wieści. Tak naprz. rozesłano na wszystkie cztery strony świata depeszę o znacznej zawartości cjanku potasu w ogonie komety Halley'a. Depesza ta nadeszła, między innymi, i do Stokholmu i wielkie w stolicy Szwecji wywarła wrażenie; gdy zaś organ socjalistyczny, mający bardzo znaczną liczbę czytelników, oznajmił, że przy spotkaniu ziemi z ogonem komety w dn. 18 maja nastąpi zatrucie atmosfery ziemi — powstał istny popłoch. Uspokoił wszakże strwożonych tegoroczny laureat narody Nobla, prof. Svante Arrhenius, który w dzienniku „Aftonbladet" zamieścił artykuł, wyjaśniający, że normalną jest rzeczą, iż komety zawierają cjanek potasu. Ilość tej trucizny jest wszelako taka mała, że wyłącza najzupełniej niebezpieczeństwo zatrucia atmosfery ziemi. Taki, zawierający cjanek potasu, ogon komety już nieraz przechodził przez ziemię, a ludzkość żadnego stąd nie poniosła szwanku. Zdaniem prof. Arrheniusa ogon komety Halley'a jest o wiele mniej szkodliwy od — strajku powszechnego!

Możemy zatym spać spokojnie i z zaciekawieniem jedynie a bez trwogi, oczekiwać nocy z 18 na 19 maja.

UPADEK OGRODU POMOLOGICZNEGO W WARSZAWIE. Warszawski ogród pomologiczny był niegdyś chlubą miasta i rozsadnikiem ogrodownictwa postępowego w Królestwie. Istniejąca przy ogrodzie szkoła pomologiczna cieszyła się zasłużonym uznaniem.

Obecnie z minionej świetności, jak stwierdza *Swob. Słowo*, pozostały jedynie wspomnienia. Zniszczenie ogrodu zaczęło się od r. 1903-go, gdy na głównego ogrodnika i nauczyciela szkoły ogrodniczej powołano p. Lemiechowa, który przedtym był pomocnikiem ogrodnika w ogrodzie pomologicznym, lecz, jako nieuk, był uwolniony i wyjechał na Kaukaz.

Działalność p. Lemiechowa odrazu zaznaczyła się słynnym zasadzeniem drzewek bez korzeni, według nowego lemiechowskiego sposobu. Korzenie zupełnie obcinano, bez różnicy gatunku i wielkości. W wyniku wszystkie sadzonki uschły. Znakomity „pomolog" objaśniał to niepowodzenie zbyt silnym polewaniem. Ten sam sposób zastosowano do drzew, skutkiem czego zginęło ich kilkaset, wartości przeszło 500 rb. W podobny sposób zmarniały rajskie jabłka i t. p. a p. Lemiechow tłumaczył to znowu — mrozami.

Niepowodzenia w Warszawie skłoniły „pomologa" do przeniesienia swej działalności na prowincję. Zaczął on ją od urządzenia ogrodu owocowego u p. Reiwassera. Około 1,000 drzew zasadzono o pół arszyna za głęboko, skutkiem czego uschło 90 proc.

W tymże czasie — jak pisze *Swob. Słowo* — zwrócili się do niego włościanie z pod Nasielska z prośbą o urządzenie im ogrodów. Lemiechow, jako drzewka z ogrodu pomologicznego, dostarczył drzewek z Kaukazu i zasadził je po 35 kop. za sztukę. I te drzewa poschły.

Podobne drzewa kaukaskie posadzono i w majątku p. Chlebnikowej pod Sandomierzem z takim samym wynikiem.

P. Lemiechow wykłada w szkole Pomologicznej owocarstwo, historję Rosji, o wyrabianiu konserw i prawo! „Ja wiem, że to nie moja rzecz", oświadczył p. Lemiechow sprawozdawcy *Słowa*, „Ale cóż robić, kazano, a ja muszę. P. Korolko usunął ze szkoły nauczyciela tych przedmiotów i potym ja je objąłem". Rugowanie Polaków ze Szkoły i Ogrodu Pomologicznego rozpoczął Apuchtin w 1886 r. przez usunięcie prof. botaniki Jerzego Aleksandrowicza od kierownictwa Szkoły. Od roku 1879 do 1886 Szkoła wydała przeszło stu zdolnych ogrodników. Kształcili się w niej: Józef Brzeziński, obecnie profesor ogrodnictwa na uniwersytecie krakowskim, jego brat Kazimierz, dziś dyrektor szkoły ogrodniczej w Zaleszczykach, Józef Trojanowski, znany hodowca nasion w Miechowie, dalej Walery Kronenberg i Chrząńscy, doskonali pejzażyści ogrodowi, Maciejewski, Brzozowski. Wykładali ludzie tacy, jak Aleksandrowicz, Jankowski, Józef i Wład. Kaczyńscy, Wal. Kronenberg, Hoser.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

Panu B. K. w Z. Adres T. Kultury Polskiej, Krucza 9. Biuro Towarzystwa dostarcza ustnie i piśmiennie żądanych informacji.

Panu L. Sterlingowi. Artykuł Sz. Pana w kwestji żydowskiej drukowany u nas nie będzie. Rękopis zwrócony.

Książki nadesłane do Redakcji.

— Marcin Ernst: „Budowa Świata", szkice astronomiczne z 58 ryc. i 3 tabl. Lwów, H. Altenberg; Warszawa, E. Wende i Sp.

— Ory Jelska: „Hanka" (*Nowości Literackie*, Tom XXXI). Warszawa, St. Sadowski

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 11—1 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.